MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XII. Nr. 21. WARSZAWA, 8 MAJA 1932 R. CENA NUMERU 80 GR.

MASZYNA I CZŁOWIEK

MASZYNIZM, zjawisko jeżeli nie poczęte, to w każdym razie wypielęgnowane i doprowadzone do rozkwitu w Ameryce, ma — podobnie jak Ameryka — w dalszym ciągu t. zw. „dobrą prasę", natomiast coraz gorszą literaturę. Prasa codzienna w dzisiejszem jej stadjum rozwojowem oparła swe powodzenie prawie wyłącznie na sensacjach i jaskrawych efektach, traktuje więc nader przychylnie, a nawet entuzjastycznie krainę wszelkich „największości", ludzi-automatów i tym podobnych cudów techniki; entuzjazmu tego nie gasi nawet widok dzikiej dżungli, jaki nagle ukazał się całemu światu z okazji zbrodni, popełnionej na dziecku Lindbergha i jego rodzicach. To też trzeba stwierdzić, że w popularnej prasie dzisiejszej, w wielu dziedzinach więcej jest bałamucenia opinji, niż jej uświadomiania.

Sumienniejsza wymiana zdań odbywa się w książkach, traktujących coraz częściej te tematy: i tu można stwierdzić fakt napozór paradoksalny, że za maszynizmem opowiadają się raczej pisarze, stojący na gruncie ortodoksyjnej ewolucji. Wygląda to na paradoks, bo przecież jeżeli się przyjmuje założenie, że ewolucja istot żywych i ich organów, począwszy od pierwotniaków, a skończywszy na człowieku, odbywała się jako odpowiednik potrzeb życia i uzbrojenie w walce o byt, to maszynizm, zwalniający wielkie masy ludzi od myślenia przy pracy, musi się przecież odbić fatalnie na samej zdolności do tego myślenia. Jeżeli tedy w szeregach ewolucjonistów spotkać można uznanie dla maszynizmu, to tłumaczyć to można tylko tendencją, jaka ujawnia się wogóle w sferach, reprezentujących t. zw. „postęp i ewolucję" do upodobnienia społeczeństwa ludzkiego do roju pszczół czy kopca termitów, mającego myślącą „elitę" na czele, a składającego się, w masie, z bezwolnych automatów, wyspecjalizowanych do poszczególnych funkcyj.

Zostawmy na boku zasadniczy spór o ewolucję, zwróćmy mimochodem uwagę na to, że o ile chodzi o inteligencję ludzką, o zdolność rozumowania, to na przestrzeni tych paru tysięcy lat, o których mamy wiadomości, trudno jakąś ewolucję stwierdzić. Jeżeli weźmiemy jednostki szczytowe, to przecież inteligencja np. Euklidesa nie ustępuje bynajmniej inteligencji nowoczesnych geometrów, budujących systemy nieeuklidesowe, czy nawet sławy naszych czasów, samego Einsteina. Naturalnie, nowocześni myśliciele rozporządzają bez porównania obszerniejszym materjałem doświadczalnym i myślowym, nagromadzonym przez poprzedników, może też wobec tego horyzonty ich są szersze, ale właśnie na tem tle wystąpi tylko silniej potęga myślenia owego Greka z przed lat tysięcy, który pierwszy i ze swego tylko mózgu wysnuł budowę abstrakcyjną, trwającą po dziś dzień. Muszę przyznać, że nie mam wielkiej nadziei na to, żeby usilna praca umysłowa dodała wiele do zasadniczego boskiego daru myślenia, jakim człowiek jest obdarzony, natomiast wydaje mi się uzasadnioną obawa, że wyeliminowanie wysiłku myślowego stworzy atmosferę gnuśności, w której ten wysiłek przestanie być wogóle ceniony. Nikt dziś nie wie, czy gnuśność jednego pokolenia będzie się propagowała i potęgowała drogą dziedziczności na następne; nie jest to jednak wcale potrzebne do sprowadzenia klęski. Wystarczy, jeżeli masowe zakopywanie talentów obniży poziom zainteresowań w każdem pokoleniu: żyjemy przecież i radość życia czerpiemy przedewszystkiem z jednego pokolenia, z naszego własnego. Teoretyczne rozważania na ten temat możnaby oczywiście snuć bardzo długo, myślę jednak, że wystarczy stwierdzić fakt, który na zasadnicze sprzeciwy nie natrafia, mianowicie, że praca monotonna i bezmyślna jest człowiekowi wstrętna i wyczerpuje w wysokim stopniu zarówno fizycznie, jak i umysłowo; musi więc sprowadzać obniżenie żywości tych zainteresowań, które stanowią o radości życia. Były wypowiadane zdania, że praca zarobkowa łatwa i automatyczna, dobrze płatna, pozostawi pracownikowi nieosłabioną możność zajęcia się w wolnym czasie

rzeczami, które go naprawdę interesują i w ten sposób przyczyni się do zadowolenia z życia. Praktyka nie potwierdza tych przewidywań: człowiek znudzony i wyczerpany pracą automatyczną, czuje raczej pociąg do odurzenia się, oszołomienia jakimś ruchem, pędem, czy wrzaskiem; stąd powodzenie idjotycznych rozrywek „Luna-parków".

Cóż więc robić? Czy mamy się wyrzec używania maszyn i wrócić do pierwotnych sposobów produkcji? Nie idźmy za dziwakami, którzy propagują tego rodzaju wyrzeczenia, a rozpatrzmy raczej, na czem polega właściwe zło i szukajmy na nie rady. Maszyn używamy już od bardzo dawna, a skargi na nie zaczęły się ukazywać dopiero w ostatnich czasach. Coś się więc musiało zmienić. Istotnie zmienił się system produkcji przez wprowadzenie krańcowego podziału pracy i idącej za nim krańcowej automatyzacji. Obsługa maszyn dawniejszego typu, czy to silników, czy maszyn pomocniczych nie była bynajmniej pracą bezmyślną, przeciwnie dawała możność pracownikowi poznania mechanizmu i rozumienia jego działania, a ta część procesu produkcyjnego, którą wykonywał, była tak znaczną częścią całości, że pozwalała poszczególnemu pracownikowi tę całość objąć i zrozumieć. Dziś, poza obsługą silników, która utrzymała swój poprzedni charakter, w pozostałych działach produkcji zapanowała tendencja do tak drobiazgowego podziału pracy i takiej jej automatyzacji, że niebawem znikną znane od wieków zawody, które, wyrosłszy z pracy ręcznej, przetrwały jednak i rozwinęły się nawet w początkowej fazie produkcji maszynowej, a teraz giną: zginie np. ślusarz, czy tokarz, a na jego miejsce zjawią się osobnicy, z których każdy umie tylko obsługiwać maszynę, wyrabiającą np. nakrętki do śrub i nic więcej. Odpowiednio do tego systemu produkcji powstawały maszyny nowej konstrukcji, maszyny-automaty, nie stawiające obsłudze żadnych wymagań myślowych; tendencja automatyzowania poszła dalej i przeniosła się z maszyny na samą obsługę, ustanawiając za pomocą chronormetru i fotografji migawkowej „najekonomiczniejsze" ruchy pracownika, sprowadzając w ten sposób i człowieka do roli automatu.

Drugim rysem charakterystycznym nowoczesnych tendencyj fabrykacyjnych jest nadanie maszynie coraz większej władzy nad obsługującym ją człowiekiem, ustawiczne popędzanie człowieka przez maszynę. Unaoczni to najlepiej opis montażu, np. samochodów, dokonywanego na ruchomym pomoście. Wzdłuż tego posuwającego się pomostu, niekiedy kilometrowej długości, mają wyznaczone stanowiska robotnicy, z których każdy ma pod ręką składzik pewnej, jednej tylko części składowej samochodu i powinien ją założyć na właściwe miejsce w tym czasie, kiedy montujący się na pomoście samochód mija jego stanowisko. W ten sposób pierwszy robotnik ustawia na pomoście dajmy na to ramę podwozia, a ostatni dokręca ostatnią śrubkę karoserji i samochód wykończony zjeżdża z pomostu na tor próbny. Naturalnie, stanowiska są tak rozmieszczone i szybkość posuwania się pomostu tak unormowana, żeby każdy robotnik miał czas spełnić swoją cząstkę montażu, ale oczywiście „nie gapiąc się" t. zn., w tłumaczeniu na zwykły język, że pracownik przy tym systemie ma do wykonywania robotę łatwą, wymagającą tylko małpiej zręczności ruchów, której — rzecz jasna — z czasem nabierze każdy, monotonną i... bez chwili wytchnienia w ciągu czasu, oczywiście „naukowo" wypośrodkowanego tak, żeby człowiek mógł to wytrzymać. Naturalnie na razie. Ile lat wytrzyma, to nikogo nie obchodzi. W przerwie np. na śniadanie pomost się zatrzymuje, a robotnik podchodzi do drugiego toru, na którym porusza się z miarową szybkością kocioł z kawą; tu podstawiwszy w odpowiednim momencie swą blaszankę, otrzymuje porcję, odpowiadającą naukowo oznaczonej liczbie kaloryj i wypiwszy ją, już zdaje się bez pomocy przyśpieszającej połykanie sondy, wraca do pomostu montażowego i zaczyna robotę w tym samym dokładnie punkcie, w którym ją przerwał. Do takiej roli sprowadził dzisiejszy system masowej produkcji wysoce dawniej kwalifikowaną pracę montera-finisera.

Obraz ten nie wyczerpuje oczywiście całości kwestji maszynizmu, daje jednak jej wyciąg bardzo esencjonalny. W tej bowiem części procesu fabrycznego człowiek jest potraktowany dosłownie jako część maszyny, pozbawiona własnej woli i swobody ruchów, wykonywająca tylko ruchy nakazane przez bieg całego urządzenia. Człowiek jest istotnie wpleciony w maszynę, związany z nią konstrukcyjnie jako część, nie dająca się jeszcze na razie przez jakąś kombinację mechaniczną zastąpić.

System ten, wprowadzony został w imię „interesu produkcji", mimo jawnej potworności miałby szanse trzymania się czas może nawet długi, podobnie jak utrzymywało się nieograniczone wyzyskiwanie pracy dzieci w pierwszych, entuzjastycznych czasach produkcji fabrycznej; wówczas traktowano przecież wszelką próbę prawnego ograniczenia tego wyzysku jako rodzaj świętokradztwa, popełnianego na ówczesnych „interesach produkcji", a głosy wskazujące, że jest to przecież zbrodnia wobec jednostek i narodu, z trudem wywalczały sobie posłuch. Na szczęście system ten dość rychło wykazał swe rachunkowo ujemne strony, bynajmniej nie zawsze zmniejszał koszty fabrykacji (patrz bardzo interesujący rozdział o „racjonalizacji" w książce prof. Rybarskiego „Przyszłość gospodarcza świata") i zaczął wyrzucać na rynek masy produktów, nie znajdujących nabywców, oraz odpowiednio wielkie masy bezrobotnych. Bankructwo gospodarki wielkokapitalistycznej ułatwi zwalczenie i tej plagi.

Kryzys sprowadza w sposób naturalny zmierzch dotychczasowych bożyszcz. Zblakła sława nietylko spekulantów-Kreugerów, lecz i fabrykantów-Fordów, i dziś można jaź czytać nawet w oficjalnych ekonomicznych publikacjach banków amerykańskich pochwały ustroju gospodarczego Francji, gdzie, jak wiadomo, przeważa drobny warsztat. Drobna wytwórnia nie potrzebuje wyrzekać się pomocy maszyn, a jednocześnie to, co nazywamy maszynizmem, jej nie grozi, maszyna jest tam sprowadzona do tego, czem powinna być, do pomocnika, a nie władcy człowieka. Człowiek jej używa i kieruje nią według swej woli, nie jest zaś jej częścią. Obawy, że rozdrobnienie warsztatów sprowadzi zacofanie pod względem technicznym, wypływają z nieprzemyślenia kwestji. Trzeba sobie przecież uświadomić, że istotny postęp w tych stosunkach polega przedewszystkiem na należytem postawieniu kwestji nosa i tabakiery, a dziś tabakiera jest stanowczo uprzywilejowana: nie produkcja dla ludzi, lecz ludzie dla produkcji. Krańcowy maszynizm zaprowadził nas materjalnie i moralnie

w ślepą ulicę, z której prędzej czy później trzeba będzie zawrócić, inaczej dojdzie niewątpliwie do buntu niewolników, podobnego do tego, jaki wybuchnął za naszej pamięci u wschodnich sąsiadów, i do zagłady naszej cywilizacji. A to chyba jest stawka o postęp? Dotychczas panowała w technice tendencja koncentracyjna i pomysłowość ludzka dostarczała tej tendencji odpowiednich środków pomocniczych, dziś ta tendencja może być w znacznym stopniu uważana za przezwyciężoną, i mamy już środki techniczne do przeprowadzenia zdrowszej społecznie decentralizacji, bez popadania w prymityw. Że zaś te środki mogą być tak samo rozwinięte, jak były rozwijane poprzednie, o tem żaden technik wątpić nie ma prawa. Nasi zaś technicy mają specjalny obowiązek zastanawiania się nad tą sprawą, gdyż jedyną drogą do gospodarczego odrodzenia, jaka stoi przed nami otworem, jest — zdaniem wybitnych znawców przedmiotu (ostatnio wypowiedział je prof. Stan. Grabski)—droga małych i średnich wytwórni.

ZYGMUNT RĄCZKOWSKI

ITALJA WSPÓŁCZESNA

W ŚWIEŻO WYDANEJ pod powyższym tytułem książce, której autorem jest znany historyk, Maciej Loret, od paru dziesiątków lat osiadły w Rzymie, w jednym z jej rozdziałów czytamy: „Między Italią przedwojenną a dzisiejszą jest znaczny odskok. Zmieniło się tu niejedno do niepoznania, a zmieniło się, co najważniejsza, pod wielu względami na lepsze. O żadnym z krajów nie można tego powiedzieć w takiej rozciągłości i w takim stopniu, co właśnie o Włoszech“ (p. „Italia Współczesna“. Rzym 1932 r. str. 259).

O tem, co wywołało na półwyspie tę zmianę na lepsze, i jak się to wyraża w jego życiu, mówi książka polskiego autora, oddawna obserwującego stosunki tamtejsze.

Jak się łatwo domyśleć, książka jest poświęcona faszyzmowi i przedstawia te zmiany w życiu narodowem Italji, jakich ruch ten, w okresie już dziesięcioletnim swojej przewagi w kraju, był inicjatorem oraz sprawcą.

Co do zmian, jakie w okresie powojennym zaszły na półwyspie, to widoczne są one naprzód w charakterze duchowym Włochów. Do tradacyjnych cnót szerokich warstw narodu jak: pracowitość, oszczędność, poprzestawanie na małem, jak zmysł życia rodzinnego i t. p., przybyły jakby nowe, których brak rzucał się dawniej w oczy. Brak dyscypliny w życiu społecznem i państwowem, przerost indywidualizmu, posuniętego do anarchji, był jedną z głównych cech ujemnych charakteru włoskiego. Dzisiaj jest inaczej. Zniknęła gdzieś indolencja i beztroskliwość dawna, Włoch idzie w ordynku, nałożył na siebie „żelazny gorset“ — jak się wyraził prof. Barthélemy — ulega dyscyplinie wewnętrznej, wierzy, słucha i walczy. Obcego, który zwiedza Włochy, uderza wytężona, zdyscyplinowana praca na wszystkich polach i we wszystkich dziedzinach. Źródłem tego rodzaju zmiany jest wzrost świadomości narodowej, będący wynikiem udziału Włochów w wielkiej wojnie, a także zawodów i rozczarowań po konferencji pokojowej oraz groźby bolszewizmu w okresie chaosu powojennego.

Faszyzm, jak wykazuje Loret, jest jednym ze stopni tej świadomości narodowej, jednym z okresów jej przypływu. Ze wzrostem świadomości narodowej wzmogło się wśród Włochów poczucie własnych wartości duchowych, podniosło się „ja“ narodowe wobec świata i przemówiło zupełnie innym głosem, niż ten, jakim odzywało się dawniej, w długim okresie życia narodu, ulegającego wpływom obcym, schylającego czoło przed kulturą silniejszych i bogatszych społeczeństw (Niemców np.). Dzisiejszy Włoch z dumą zaznacza swoją wyższość cywilizacyjną, i to nie tylko dlatego, że czuje się, bardziej niż kiedykolwiekbądź, spadkobiercą starożytnego Rzymu, lecz dlatego, że uniezależnił się duchowo od wpływów obcej kultury i uświadomił sobie jej słabe strony. W tem poczuciu własnego pierwszeństwa cywilizacyjnego jest może trochę przesady i nieco zawiele pogardy dla reszty świata, ma ono wszakże swoje strony słuszniejsze i świadczy o silnej woli odnowy ducha narodowego. Zwłaszcza w młodem pokoleniu, które dojrzało już w okresie faszystowskim, wola ta występuje śmiało i ambitnie. Przeciwstawia się ono wyraźnie zasadom oraz ideom, mającym obieg w Europie, którym niegdyś hołdowały przodujące sfery narodu. Są nawet wśród młodego pokolenia tacy, co mienią się „antyeuropejczykami“ i reprezentują herezję przeciw nowożytnej Europie, „przeciwko Europie Paryża, Moskwy, Genewy“ jak głoszą w swoim organie „*Antieuropa*“. Zwalczają zatem ideje demokratyczne i komunistyczne, które opanowały ducha europejskiego; są przeciwko pojęciom i praktyce indywidualistycznej i zmaterjalizowanej — międzynarodowej cywilizacji europejskiej. Przeciwstawiają się słowem, w tym swoim „atyeuropeizmie“, dawnej Italji racjonalistycznej, w której życie duchowe ogołocone było z najbardziej twórczych i płodnych wartości, z poczucia religijnego, z idei Boga. Może ta reakcja „antyeuropejska“ idzie za daleko, świadczy ona jednak wymownie o żywem ocknięciu się świadomości narodowej, jest bowiem nawrotem, po latach zaniedbania, do źródeł rodzimej cywilizacji, do idej i zasad cywilizacji łacińskiej i katolickiej, które stanowiły o mocy oraz świetności duchowej Italji.

Faszyzm, jak wspomnieliśmy już wyżej, był sam dosadnym wyrazem tej wzmożonej świadomości Italji powojennej, ponadto jednak, gdy doszedł do władzy, umiał ją nietylko podniecić dla wzmocnienia siebie samego, lecz potrafił także wyzyskać i zdyscyplinować dla wielkiego celu przebudowy całokształtu życia narodowego, dla gruntownego przekształcenia ustroju państwa oraz stosunków społecznych. Zmiany, jakie w tej mierze zostały dokonane w okresie dziesięcioletnim panowania faszyzmu, uczyniły Italję dzisiejszą zupełnie odmienną od tej, jaką była przed wojną. Tym zmianom oraz ideom, jakie im przewodniczyły, poświęcona jest znaczna część książki naszego autora, w tem bowiem wyraziła się najpełniej istota ideologji faszyzmu i energja jego czynu twórczego. Chociaż to wszystko jest znane w ogólnych zarysach, nie mniej na niektóre tego strony należy zwrócić szczególniejszą uwagę.

Z kryzysu państwa o charakterze liberalnodemokratycznym, w którym Italja tkwiła po uszy w okresie przedwojennym, i w większym jeszcze stopniu w pierwszych latach po wielkiej wojnie, wydobył naród faszyzm, reagując stanowczo na to, co było jedną z głównych przyczyn tego kryzysu, mianowicie na przerost władzy parlamentu i jej przewagę nad władzą wykonawczą. Wynikało to z doktryny faszystowskiej o suwerenności państwa nad suwerennością ludu — właściwie nad poszczególnemi suwerennościami różnych jego grup i klas, współzawodniczących z sobą, — z doktryny, nadającej państwu władzę integralną celem zespolenia wszystkich sił społecznych, dotąd bądź sprzecznych, bądź mu wrogich, a to pod hasłem odpowiedzialności za całość.

Mając na względzie ów główny cel państwa, faszyzm stawia potrójny program: moralny, społeczny i polityczny. Dąży on do wychowania narodowego, do wprowadzenia wszystkich sił społecznych w orbitę państwa, do poprawienia błędów ustroju parlamentarnego. Z powyższego programu wynikła reforma wychowania, reforma parlamentaryzmu, wreszcie reforma państwa i jego instytucyj, t. j. reforma prawna. Według jednego z teoretyków ruchu faszystowskiego, S. Bortolotto, (autor książki „*Lo Stato e la dottrina corporativa*") czynnikami, jednoczącemi państwo faszystowskie są: 1) Naród, jedność moralna i terytorjalna; 2) Korporacja, jedność ekonomiczna i produkcyjna; 3) Wielka Rada, jedność polityczna; 4) Korona, jedność imperjalna.

Wielka Rada („*Gran Consiglio fascista*") jest nowością w prawodawstwie konstytucyjnem, jest ona bowiem obok trzech władz tradycyjnych (ustawodawczej, wykonawczej, sądowej) czwartą — polityczną. Była ona z początku radą przyboczną Mussoliniego, organem pośredniczącym między rządem a partją faszystowską, a zarazem organem jednoczącym te wszelkie instytucje i organizacje, które tworzył faszyzm („*Dopolavaro*" — opieka nad robotnikami, nad macierzyństwem i dzieckiem; „*Balilla*" — opieka nad młodzieżą; ustrój korporacyjny i t. p.) Wielka Rada została ulegalizowana dopiero w 1928 — 29 roku. Jest ona doradcą Korony w sprawach wojny i pokoju, wpływa na skład rządu, zakres jej działania jest, słowem, doniosły, wyraźnie jednak różny od zakresu działania parlamentu, który zachowuje swoje czynności prawodawcze oraz kontrolę rządu, zresztą dość ograniczoną. W. Rada więc jest instytucją, zabezpieczającą jednolitość i ciągłość władzy politycznej państwa.

Obok W. Rady czynnikiem odgrywającym decydującą rolę w państwie, ograniczając inicjatywę parlamentarną, jest szef rządu. (Na mocy prawa z 1925 r. bez jego zgody nie może być postawiony na porządku dziennym obu Izb żaden wniosek). Prof. Barthélemy określa władzę szefa rządu we Włoszech w ten sposób: „nie ma on nikogo nad sobą— stoi on obok króla". Co do Korony, to w ustroju faszystowskim przedstawia ona przedewszystkiem syntezę osobową państwa i jego ideję imperjalną, t. j. jego tradycje i ciągłość rozwoju. Faszyzm wprowadził do organizmu państwowego sporo rzeczy niepraktykowanych gdzieindziej (np. Milicja faszystowska i t. p.), najdonioślejszy atoli jest bezsprzecznie ustrój korporacyjny. Z tego powodu słusznie utrzymuje autor „Italji współczesnej", że nawet najsurowsi krytycy faszyzmu muszą dziś przyznać, że faszyzm nie był i nie jest tylko hasłem politycznem, gwoli dorwania się do rządów i zapewnienia ich jednej partji, ale ruchem o programie, usiłującym realizować nowe formy życia państwowego i społecznego, dla dobra narodu.

Podstawą reformy społecznej, dokonanej przez faszyzm, jest t. zw. „Karta pracy" („*Carta del lavoro*") z r. 1927, czyli Konstytucja społeczna nowych Włoch. Określa ona równość praw i obowiązków pracy i kapitału w łonie państwa oraz głosi solidarność wszystkich obywateli i wszystkich klas wobec interesów narodu. Pracy zabezpiecza Konstytucja społeczna *minimum* wynagrodzenia, spoczynek i opiekę, kapitałowi zaś bogactwo, jako funkcję wytwórczości, a także gwarancję przeciw wymuszaniu, jakiem były strajki. (Lokaut i strajk są zakazane przez „Kartę Pracy"). Spory i konflikty interesów między pracodawcami a pracobiorcami załatwiane są w ramach ustawodawstwa korporacyjnego (znajdzie je czytelnik w książce omawianej), chodziło nam głównie o ich ideę przewodnią, która, jak wszelkie reformy faszyzmu, wynika z jego doktryny państwa.

I w polityce bowiem społecznej zasadą naczelną faszyzmu jest — przy wolności stowarzyszania się — podporządkowanie interesów jednostki i grup społecznych interesom wyższym narodu, którego państwo jest tłumaczem i wolą na zewnątrz. W związku z ustrojem korporacyjnym została dokonana reforma przedstawicielstwa narodowego w państwie faszystowskiem, które nie jest ustrojem parlamentarnym lecz konstytucyjno - przedstawicielskim. Organami jego są: Senat, Izba posłów i Rada Narodowa Korporacyjna. Ta ostatnia wychodzi z nominacji rządu na przedstawienie związków zorganizowanych; jest ona przedstawicielstwem zawodowem, korporacyjnem, oraz organem władzy administracyjnej i prawodawczej.

W nominacji Izby posłów biorą udział trzy czynniki: organizacje syndykalistyczne, które proponują kandydatów; W. Rada, która ich desygnuje; wyborcy, którzy aprobują plebiscytowo listę.

Reforma społeczna, znajdująca swój wyraz w ustroju korporacyjnym, rzuca osobliwe światło na charakter ideowy faszyzmu jeszcze i z tego względu, że prócz tego, iż natchniona była zasadniczem pojęciem jego o suwerenności państwa, wynikała ona także z pojęcia faszyzmu o narodzie oraz roli sił produkcyjnych w jego łonie. Podług ideologji faszystowskiej naród jest jednością nietylko moralną i polityczną, lecz i ekonomiczną, całość produkcji więc jest również jedna, z punktu widzenia narodowego, cel jej jest jeden i polega na dobrobycie jednostek oraz rozwoju potęgi narodowej.

Faszyzm, jako stronnictwo polityczne, wyrósł na błędach demo-liberalizmu i socjalizmu włoskiego; w dalszym swoim rozwoju, łącząc w sobie kierunki: nacjonalistyczny i syndykalistyczny — zadał dwu tamtym doktrynom cios stanowczy, urzeczywistniając swój program reformy państwowej oraz społecznej.

Były one również jednym z objawów ogólnego wzmożenia się świadomości narodowej Włoch w wielkiej wojnie. Przypływ tej świadomości ogarnął wszelkie dziedziny życia włoskiego, pociągnął za sobą daleko sięgające zmiany, zwłaszcza w tych, które poprzednio najwięcej cierpiały z powodu jej

braku. Do takich należała polityka zagraniczna powojenna — pomijając już dawniejszą — której z miejsca nadał faszyzm inny bieg, energiczniejszy rytm, skoro tylko doszedł do władzy.

Zwycięska dla Italji wojna uwolniła jej politykę zagraniczną od upokorzającej zależności od Berlina i Wiednia, — zerwanie wszakże więzów tego rodzaju nie dało jej jeszcze możności prowadzenia samodzielnej, wielkomocarstwowej polityki, odpowiadającej całkowicie jej naczelnym postulatom państwowym, interesom materjalnym kraju oraz godności narodowej. Kraj ubogi w surowce, z półmiljonowym rocznym przyrostem ludności, o niekorzystnem położeniu geograficznem i t. p. — nie może uprawiać tak samodzielnej polityki, by nie liczyć się z temi czynnikami, co mu mogą szkodzić lub pomóc w jego przyrodzonem upośledzeniu.

To też program polityki zagranicznej, zarysowany w mowie Mussoliniego z listopada 1922 roku, był przedewszystkiem wyrazem bardzo mądrego liczenia się z nieodwołalnemi koniecznościami własnego bytu, oraz z wytworzonemi po wojnie warunkami międzynarodowemi.

Faszyzm wyznawał, że traktaty pokojowe, dobre czy złe, muszą być wykonane, dodawał szczerze przytem, iż nie są one wieczne, są tylko „rozdziałami historji“. Przyrzekał również, że nie opuści swych sprzymierzeńców, wyraźnie jednak podkreślał, iż pod tym warunkiem, jeżeli Rzym będzie miał w koalicji równorzędne stanowisko z Paryżem i Londynem. Ponieważ jednak stosunki pomiędzy sprzymierzeńcami wojennymi tak się w następnych latach układały, że często Londyn i Paryż spychały Rzym na stanowisko drugorzędne, polityka zagraniczna faszyzmu weszła rzeźko, realistycznie, zgodnie z tradycją oraz interesem własnego narodu, na drogę tego „*gioco del mondo*“, tej gry, której celem było z jednej strony zabezpieczanie interesów żywotnych Italji przez związki poza sprzymierzeńcami, z drugiej zaś niedopuszczenie do tego, by jeden z nich, mianowicie Francja, miał stanowczą, decydującą przewagę na kontynencie Europy. W tej grze, prowadzonej przez politykę włoską, dużo jest rzeczy niepokojących, gdy chodzi zwłaszcza o stosunki z Polską, bo tu, jak widać choćby z kwietniowej uchwały „Wielkiej Rady“ co do rewizji traktatów, wchodzimy w inny „rozdział historji“ w tej mierze, — i nie ma się pewności, jak daleko on sięga i dokąd zajść może? Za taki stan rzeczy, za tego rodzaju szachowanie Francji — i innych przy niej — przez politykę włoską, nietylko ona jedna wszakże jest opowiedzialna, odpowiedzialność spada, być może w większym stopniu, także na tych, którzy od początku wiele błędów politycznych popełnili w stosunku do Włochów i nie korzystali z dobrych sposobności porozumienia się z nimi. W każdym razie polityce rządów faszystowskich przyznać należy nietylko niezwykłą ruchliwość, lecz i konsekwencję oraz niesłabnącą czujność na tych wszystkich punktach, gdzie chodzi o interes narodu oraz *prestige* państwa.

Nie mamy miejsca na wyszczególnianie dodatnich wyników polityki faszystowskiej, skoro tu jednak wspomnieliśmy o interesie w związku z *prestige*'m państwa, niepodobna pominąć jednego z najdonioślejszych rezultatów tej polityki, mianowicie rozstrzygnięcia pół-wiekowego konfliktu Kwirynału z Watykanem. Nikt, żadna myśl polityczna, natchniewająca rządy włoskie przed faszyzmem, nie odczuwała konieczności załatwienia tego zatargu dla dobra narodu — w takim stopniu, jak to odczuwał i rozumiał faszyzm. Faszyzm, pomimo licznych trudności, dążył konsekwentnie do zgody z Watykanem, naprzód dlatego, iż uznawał, że to jest niezbędne dla większej spoistości narodowej, a następnie z tej racji, iż od chwili dojścia do władzy był zdania, że „tradycja łacińska i imperjalna Rzymu jest dziś reprezentowana przez katolicyzm, i że jedyną ideą powszechną, która dziś istnieje w Rzymie jest ta, która promieniuje w Watykanie“ (Mussolini). Wierząc w misję cywilizacyjną Italji w świecie, faszyzm położył szczególniejszy nacisk na sprawy nauki i kultury wogóle, otoczył on opieką wysiłek prywatny, mający na względzie rozwój oraz wyzyskanie uzdolnień twórczych narodu, i powołał do życia szereg instytucyj państwowych w tym celu. Tak np. dla skoordynowania wysiłków Naukowych w dziedzinie techniki i nauk ścisłych rząd faszystowski stworzył „Radę Narodową Badań naukowych“ *(„Consiglio nazionale delle ricerche“)* na której czele stoi znakomity wynalazca Marconi. W 1926 r. powołał do życia „Królewską Akademję Włoską“, jako najwyższą instytucję naukową, literacką i artystyczną. Z innych ośrodków nauki wymienić można „Instytut Archeologji i Historji Sztuki“ i w. innych. Dla szerzenia kultury narodowej, zwłaszcza wśród cudzoziemców, przyjeżdżających do Włoch, został założony 1928 r. specjany „Instytut Międzyuniwersytecki Włoski“ *(„Istituto Interuniversitario Italiano“)*, który organizuje kursy naukowe w zakresie jaknajszerszym, obejmującym całość kultury włoskiej. Mam właśnie przed sobą świeżo przysłany mi program kursów tegorocznych tego Instytutu. Bogactwo programu jest niezwykłe, liczba wykładających ogromna, a poza przedmiotami ogólnemi, specjalizacja posuwa się do tego stopnia, że np. w Faenzy odbywa się kurs, poświęcony dziejom ceramiki włoskiej, w Varese zaś kursy medyczne, w Wenecji, Rzymie, Florencji, Perugji i t. d. znów inne, związane z charakterem kultury miasta, w którem się odbywają. Tego rodzaju instytucji nie posiadają, o ile mi wiadomo, inne kraje Europy zachodniej, zasobniejsze od Włoch w środki materjalne.

O wielkiem znaczeniu tego Instytutu dla propagandy włoskiej wśród cudzoziemców — nie ma co mówić. Zatrzymuję dłużej uwagę czytelnika na nim, gdyż jest on w moich oczach jednym z najwymowniejszych przykładów tej skoordynowanej pracy zbiorowej, tego zapału i świadomego wysiłku ducha, jaki ujawniają Włosi w epoce faszyzmu na wszelkich jej polach, tam gdzie widoczne były braki i zaniedbania — tej dyscypliny, która sprawiła, że na półwyspie dużo „zmieniło się dzisiaj do niepoznania, a zmieniło się, co najważniejsza, na lepsze“.

W jakiej rozciągłości i w jakim stopniu to się stało, książka pisarza polskiego, badacza od lat wielu stosunków włoskich, mówi z rzadką u nas znajomością rzeczy, bez przesady, ale i bez tych uprzedzeń, bez niechęci w stosunku do faszyzmu, które nie pozwalają spostrzegać dokonanych przez niego zmian na lepsze i usposobiają do widzenia tam wszystkiego w czarnych kolorach.

WŁADYSŁAW JABŁONOWSKI

POLSKA I POLACY W LITERATURZE ROSYJSKIEJ

POLSKA literatura piękna, w której pierwiastek patrjotyczny świadomie odgrywał rolę wybitniejszą, niż we wszystkich innych — może — literaturach europejskich, w tych momentach, gdy występuje, jako tarcza politycznej i kulturalnej niezawisłości narodu — ma w ogólności charakter zdecydowanie antyrosyjski. Takim jest cały romantyzm — mimo zastrzeżeń Mickiewicza, że z pośród katów polski—Moskal „najgłupszy“ jeden się nawróci — nie wie bowiem, co czyni; taką jest literatura, która bezpośrednio nastąpiła po okresie romantycznym — właściwie dopiero Sienkiewicz, naprzód w „Bartku Zwycięzcy“ — a potem najwyraźniej i najsilniej w „Krzyżakach“ zwrócił się frontem przeciw — naprawdę — najgroźniejszemu, najmocniejszemu i najrozumniejszemu wrogowi Polski t. j. narodowi niemieckiemu. Ale poza Sienkiewiczem mało kto z pisarzy polskich ujmował w takiż sposób zagadnienie ustosunkowania się do zaborców — Zapolska i Żeromski aż do „Wiatru od morza“ kontynuowali uświęcone tradycją propagowanie poglądu, że zagładę Polski, jej odrębności, — niesie przedewszystkiem Wiatr od wschodu...

W niemniejszym — być może — stopniu, choć w zupełnie odmienny wyrażone sposób — niż w literaturze polskiej Rosjanami — objawia się zaiteresowanie literatury rosyjskiej Polakami. Zresztą, byłoby rzeczą dziwną, gdyby miało być inaczej — wszak długowiekowe pożycie obok siebie dwu narodów... pożycie — znajdujące się naogół w temperaturze naprężenia — nie mogło wpłynąć na literaturę jednego z tych narodów tak bardzo mniej, niż na drugą...

To też i rosyjska literatura piękna dużo miejsca na swych stronach udziela Polakom. Ci bowiem — pomijając już nieprzerwane polityczne stosunki obu narodów, byli awangardą cywilizacji katolicko-łacińskiej, zachodnio-europejskiej, przed której ekspansją na wschód—Rosja, ostatnia i napotężniejsza twierdza zesłowiańszczonego, a także nieco zmongolizowanego bizantynizmu — broniła się zacięcie przez długie wieki; gdy zaś wreszcie skapitulowała — to i wtedy nie przyjęła tej kultury ze źródła pierwotnego, jakiem była południowo-zachodnia romańska, i obok niej zromanizowana słowiańska Europa — stanowiąca ciąg dalszy łacińskiego średniowiecza—ale już od etapu dalszego, oddalonego od owego pierwotnego źródła—z protestanckiej Północy.

Chcąc więc zrozumieć ustosunkowanie się rosyjskiej literatury pięknej i wogóle psychiki rosyjskiej do Polski i Polaków — należy uświadomić sobie stosunek tychże do kultury zachodniej, łacińskiej — w szczególności do kościoła rzymsko-katolickiego; w pojęciu bowiem masy mieszkańców Rosji katolicyzm i polskość — to dwie rzeczy nierozerwalnie z sobą splecione; a — zresztą — cała historji stosunków polsko-rosyjskich, to może nie tyle walka dwu mocarstw słowiańskich o hegemonję polityczną, ile zmaganie się jednej kultury z awangardą drugiej.

Naogół stosunek Rosjan do katolicyzmu jest wybitnie nieżyczliwy, a nawet wrogi — przedewszystkiem właśnie dzięki obawie przed zachłannością tegoż i ekspansją w kierunku wschodnim; przeciętny bowiem Rosjanin jest mocno przywiązany — nie tyle może do religji prawosławnej— ile właśnie do tradycji bizantyńskiej. W tym wypadku psychika mas oddziaływała na literaturę— i odwrotnie, literatura wytwarzała nastrój w masach. U wszystkich niemal (wyjątki są, ale nieliczne) najświatlejszych nawet, najbardziej tolerancyjnych i bezstronnych przedstawicieli piśmiennictwa rosyjskiego — katolicyzm, w szczególności duchowieństwo katolickie—przedstawiane są w świetle wybitnie antypatycznem — cechą zaś charakterystyczną jego staje się tu — obok uznawanej wyższości intelektualnej (nie moralnej) nad prawosławiem—przewrotność. Nigdzie łączenie bredni o antychryście z osobą papieża rzymskiego, a machjawelizmu z katolicyzmem, z jezuityzmem zaś w szczególności — nie znalazło pełniejszego wyrazu, niż w Rosji, w masach rosyjskich — co odbiło się też i w literaturze. Przykładów podawać nie potrzeba: roi się od nich u Puszkina, Lermontowa (szczególnie w tragedji „Hiszpanie“), Tołstoja (nawrócenie Heleny Kuragin na katolicyzm, „Wojna i Pokój"), Dostojewskiego i t.d. Zdarzały się wprawdzie w Rosji, i to nieraz (szczególnie w sferach arystokratycznych w początku w. XIX)—przejścia na katolicyzm — ale czyniły to właśnie te jednostki jedynie, którym nietylko prawosławie — ale wogóle cały bizantynizm nie odpowiadał i był duchowo obcy. Nie przeszkodziło wprawdzie wybitnemu myślicielowi i poecie na przełomie XIX i XX w., Włodzimierzowi Sołowjewowi przejście na katolicyzm w tem, by zostać nadal wielkim patrjotą rosyjskim; ale w tym wypadku bardziej, niż w wielu innych — wyjątek staje się potwierdzeniem reguły.

Naogół przejście na katolicyzm — równało się zerwaniu z rosyjskością; obrona prawosławia była jednem z najgłówniejszych zadań dziejowych Rosji, jako Państwa i jako narodu... To też walki polsko-rosyjskie, na które u nas zwykle patrzy się z punktu widzenia ekspansji politycznej, czy gospodarczej — masy rosyjskie, a wśiad za niemi i literatura piękna przedstawiają sobie przedewszystkiem, a nieraz i wyłącznie — jako obronę prawosławia, jako wojny religijne...

Katolicyzm—jeżeli cieszył się kiedy uznaniem u pisarzy rosyjskich — to w okresie przewagi czystego estetyzmu w literaturze, kiedy to imponował twórcom-artystom, jako coś, obleczonego w niezwykle piękną formę, polskość—przeciwnie—miała sympatje wśród autorów-społeczników i polityków, należących do obozu liberalnego. Naogół obiedwie te rzeczy traktowano nierozdzielnie — stąd wiele cech, pierwotnie określanych, jako właściwości katolicyzmu, połączyło się w wyobraźni rosyjskiej ściśle z duchowem obliczem Polaków, jako cechy narodowe.

Tak np. typową dla Polaków w literaturze polsko-rosyjskiej stała się przewrotność, której się przeciwstawia szczerą prostoduszność Rosjanina, najczęściej ustępującego Polakowi pod względem rozwoju umysłowego i ogłady, ale przewyższającego go etycznie.

Przewrotność ta, połączona z kilkoma innemi cechami, najczęściej ujemnemi, które, razem wzięte, stworzyły niezmienny nigdy obraz Polaka w psychice rosyjskiej — nicią czerwoną przewija się poprzez całą literaturę rosyjską od ód pióra poetów epoki Katarzyny — ku czci bitwy maciejowickiej czy zdobycia Warszawy poczynając—poprzez romantyzm rosyjski, realizm i modernizm—aż do pisarzy sowieckich, jak np. Erenburga czy Babla.

Tendencyjność w przedstawianiu Polaków w świetle ujemnem, odbijająca od objektywnego naogół ustosunkowania się względem przedstawicieli innych narodowości—jest jaskrawa, aż do przesady. Polak jest nietylko przewrotny, ale także—i może więcej jeszcze: samochwał, silniejszy w gębie, niż w szabli, przytem do śmieszności — w pojęciu rosyjskiem – zarozumiały, ambitny i chory na miłość własną, objawiającą się w polskim honorze—który to „gonor“ (słowo, używane jedynie na określenie cechy, właściwej Polakom — w innych wypadkach honor znaczy „czest’”) plastycznie przedstawia się następująco: „Gonor—to taka „sztuka”—powiada Rosjanin—że np. przychodzi Polak do restauracji, zjada za 50 kopiejek, a tak siedzi i zachowuje się, jakby zjadł na 10 rubli...“ !!! Polacy—to naród wojowniczy i łupieżczy, awanturniczy nawet, w wojnie się lubuje, ale jeszcze chętniej o niej mówi, pozatem — choć i odważny naogół (od tchórzów jednak polskich roi się w literaturze rosyjskiej)... nie gardzi zdradą i podstępem...

Kobiety polskie są bardzo piękne i kulturalne, ładnie mówią i są nawet wykształcone, ale przewrotne jeszcze bardziej, niż mężczyźni. Najwybitniejszą ich cechą—duma obok zupełnego niemal braku serca (Maryna Mniszchówna w całej literaturze rosyjskiej, „pannoczka” w „Tarasie Bulbie” Gogola).

Warcholstwo i niekarność, skłonność do wandalizmu, zamiłowanie przesadne w uciechach łoża i stołu — oto cechy t. zw. społeczne, ogólne, dopełniające obrazu, niewątpliwie, z naszego punktu widzenia, godnego bliższego zastanowienia się...

Przez cały wiek XIX i początek XX naród rosyjski karmił się tego rodzaju pojęciami o Polakach. Puszkin wszystkie, wyszczególnione wyżej cechy odmalował z artyzmem wielkim w „Borysie Godunowie”; poruszał te kwestje i w tem oświetleniu i Lermontow w swych powieściach poetyckich. A co ciekawsze, że tak przedstawiany Polak nie stawał się dla pisarza rosyjskiego postacią antypatyczną, znienawidzoną, chociaż budzącą niejaki podziw... (u nas krzyżacy u Sienkiewicza, Rosjanie u Żeromskiego i Zapolskiej)—nie: był figurą śmieszną, karykaturą... Takiemi humorystycznemi postaciami są Polacy u Puszkina, takimi ich przedstawia powieściopisarz historyczny Zagoskin w powieści „Jurij Miłosławskij czyli Rosjanie w 1612 roku...” Jako typ Polaka, widzianego przez pryzmat psychiki rosyjskiej — występuje tam rotmistrz husarski, pan Kopyczyński, tchórz i samochwał, pijak i żarłok. Celem wzmocnienia kontrastu pokazuje autor innego Palaka, regimentarza Tyszkiewicza, gardzącego wadami rodaków — artystycznie jest to postać zupełnie bezbarwna...

Jest jednak w tej powieści, będącej czemś w rodzaju rosyjskiego „Potopu” (*si parva magnis comparare licet*) — coś, co i nas zainteresuje, rzucając ciekawe światło na psychikę rosyjską tak, jak ją, (może nieświadomie?), pojmował Zagoskin. Oto bohater powieści, wielki patrjota rosyjski i wierzący prawosławny—przysiągł na wierność polskiemu królewiczowi Władysławowi, jako carowi... Skutkiem tego cierpi, gdyż widzi, że Polacy łupią Rosję i uciskają Rosjan, rwie się do walki, ale związany jest przysięgą, której, jako człowiek religijny i honorowy, złamać nie może... Wybucha wielkie powstanie przeciw Polakom: cała Rosja wstaje, jak jeden mąż. On nie idzie!.. W rozpaczy udaje się po radę do ojca Djonizego, przeora Troicko-Siergijewskiej Ławry (która w r. 1612 odegrała względem Rosji takąż rolę, jaką Częstochowa w 1655 względem Polski) i zgłasza wstąpienie do zakonu, gdyż nie ma sił żyć w świecie. Rosyjski Kordecki przyjmuje go do klasztoru, a następnie, po złożeniu ślubów, jako teraz już jedyny zwierzchnik uwalnia z przysięgi i posyła do walki z Polakami (*sic!*) Miłosławskij uszczęśliwiony jedzie — w drodze nowa tragedja: spotyka kobietę, którą kochał, córkę człowieka zaprzedanego Polakom, której grozi śmierć z rąk rozwścieczonego tłumu moskiewskiego. Nie widząc innego ratunku — żeni się z nią (on — mnich!!)... jedzie na wojnę z myślą, że zginie... Ale Rosjanie zwyciężają. Polacy wychodzą z Moskwy—Miłosławskij cały i zdrów—znowu w duchowej rozterce — jedzie do ojca Djonizego. Ten, widząc we wszystkiem Opatrzność Bożą, zwalnia go ze ślubów (!) i daje błogosławieństwo jego życiu rodzinnemu (!!)...

Tyle Rosjanin o Rosjanach...

Turgeniew, liberał, wydalony z Rosji za wolnomyślność, niestrudzony szermierz o wolność i niepodległość ludów południowo-słowiańskich, który nawet jedynym prawdziwym mężczyzną pomiędzy wszystkimi swoimi rozhamletyzowanymi bohaterami czyni Bułgara (Insarow w „Nankinie“ — „W przeddzień“), przeciwstawiając go Rosjanom — był zdecydowanym polonofobem. Swojej antypatji do Polaków dał wyraz w dłuższej noweli „Zacisze“, gdzie przedstawił typ Polaka — intryganta i tchórza, przedewszystkiem zaś w prześlicznem opowiadaniu „Pierwsza miłość“, gdzie między innymi występuje Polak — hrabia Malewski... najinteligentniejszy, najbardziej oczytany, najlepiej ubrany z pośród wszystkich innych mężczyzn — ale zdecydowanie podła kreatura. Dając charakterystyki swych wielbicieli, bohaterka powiada: ten huzar człowieka, coby mu stanął na drodzie — rozpłatałby na ćwierci; tenby się usunął, a tamten znów postanowił walczyć, dopóki nie zwycięży...

— A ja?... zapytał hrabia Malewski.

— Pan?... Pan — odrzekła w zamyśleniu: — podałby mu z najbardziej czarującym ze swych uśmiechów bukiet zatrutych kwiatów...

Żywiołowo nienawidził Polaków Dostojewskij, czemu dał wyraz — przedstawiając kilka ich typów — w „Braciach Karamazowych“. Nietrudno było odgadnąć źródło tej nienawiści: on — największy znawca dusz, sięgający okiem w najprzepaścitsze otchłanie psychiki ludzkiej, który w czterech Karamazowych zawarł zagadkę świata, a przedewszystkiem zagadkę duszy rosyjskiej: w lubieżniku, w żywiołowym uczuciowcu, w sceptycznym intelektualiście... i w mistyku — kazał odnieść zwycięstwo temu ostatniemu, Aloszy Karamazowowi, uczniowi starca — ascety Zosimy, będącego symbolem prawosławia, tak ogniście przez autora apoteozowanego. Dostojewskij, który w obronie prawosławia uderzył w katolicyzm, poświęcając zwalczaniu go

specjalny rozdział w „Braciach Kar.“ p. t. „Wielki inkwizytor“ — widział w Polakach awangardę katolicyzmu.

Była też w Rosji grupa pisarzy — nie traktujących Polaków ze strony humorystycznej, ani nie zwalczających ich w imię obrony prawosławia i tradycji bizantyjskiej przed ekspansją łacińską, katolicką — ale nienawidzących Polski świadomie z pobudek narodowych politycznych.

Byli to autorowie pochodzenia ukraińskiego, w pierwszym rzędzie Gogol, który w przecudnie napisanym „Tarasie Bulbie“ stworzył epos zmagań się kozaczyzny, broniącej wolności i prawosławia — z ciemięzcami — Polakami... Uwypuklił nienawiść ludu małoruskiego do Lachów, uciskających go razem z Żydami — zarówno w „Bulbie“, jak i w „Strasznej zemście“.

Drugi Małorus, Mordowcew, autor licznych, a lichych przeważnie powieści historycznych — uderzywszy w „Samozwańcu“ (ściślej „Łże-Dimitrij“) w nutę karykaturowania Polaków — w „Carskim grzechu“ przedstawił wrodzoną im skłonność do wandalizmu, zatrzymał się na momencie wyrzucenia z trumny zwłok Chmielnickiego na rozkaz Stefana Czarneckiego w Białej Cerkwi.

Pisarze polityczni z obozu liberalnego, przeważnie grupujący się zagranicą — naogół odnosili się do Polaków (ściślej mówiąc — do kwestji polskiej, jako zagadnienia politycznego—a to nie jedno i to samo) życzliwie i z sympatją, przedewszystkiem Aleksander Hercen, wydawca londyńskiego „Dzwonu“ („Kołokoł“).

Tołstoj — zająwszy wrogie względem katolicyzmu, w szczególności zaś jezuitów stanowisko w „Wojnie i pokoju“ — tamże dał też wyraz pewnej niechęci względem Polaków, głównie dla ich „fanfaronady“... Niezwykle plastycznie oddana jest scena, w której Napoleon mrugnął okiem na szwadron polskich szwoleżerów — a ci, wpatrzeni weń, jak w tęczę, zaszczyceni jego wyborem, z radością skoczyli do Niemna, by — przepłynąwszy — krzyknąć na tamtej stronie „Niech żyje cesarz!“ — straciwszy bez żadnego pożytku dla kogokolwiek trzecią część swych ludzi. W noweli jednak: „Za co?“ uderzyło serce humanitarysty — Tołstoja sympatją i współczuciem dla prześladowanych po powstaniu Polaków. Oto zesłaniec na Syberji usycha z tęsknoty za ojczyzną, postanawia wracać w trumnie. Wiezie go żona, która zameldowała, że odwozi trupa męża do grobowca rodzinnego i otrzymała zezwolenie. Znosząc tysiące niewygód, dojechali do Polski już niemal — aż tu konwojący żołnierz odkrył, jak żona karmiła zbiega w trumnie. Bez żadnej potrzeby wewnętrznej i bynajmniej nie z poczucia obowiązku — ale tylko „ot tak sobie“ żołnierz zadenuncjował kobietę, otrzymał pochwałę i jakąś nagrodę. Ale gdy szedł do karczmy, goniły go oczy kobiety, w których malowały się przerażenie, rozpacz i niemy wyrzut... oczy te, jakby pytały go: — Za co?... I autor też pyta: — Za co?...

Po myślicielu polonofilu i katoliku, Sołowjowie — w latach 1905-6 i później namnożyło się w literaturze rosyjskiej moc powieści i nowel z życia polskich „panów“, przedstawianego, jako pasmo makabrycznych historyj, oraz zbrodni (mniej więcej w tym guście, jak np. opowieści o Korsyce, nocach weneckich i t. d.) — lub też z dziejów polskich rewolucjonistów tych czasów — przyczem co zasługuje na uwagę — to mianowicie, iż w Rosji nigdy nie miano wątpliwości, że celem polskich rewolucyj nie są jakieś zdobycze społeczne, ale narodowe...

W Sowietach Polskę przedstawia się, jako najdalej wysunięty bastjon „faszyzmu“, kraj pańszczyzny, gdzie magnaci katują chłopów (nowele Babla). Wojna r. 1920 nie jest dla nich — tak, jak dla nas — przedewszystkiem, wojną narodową — ale społeczną: wojną ludu ze szlachtą...

Opinję Polski, jako państwa policyjnego, gdzie panuje terror — utwierdza Erenburg w „Żywocie Lejzorka Rojtszwańca“.

Z pisarzy emigracyjnych, którzy mieli możność dobrze poznać Polskę, gdy opuszczali ojczyznę — Mereżkowskij — a poniekąd i Balmont — są naogół polonofilami, dają jednak temu wyraz nie w swych utworach, tylko w prasie.

Autor mnóstwa sensacyjnych powieści Breszko-Breszkowskij stale głosił ideę jedynego frontu „białej“ Rosji i Polski przeciw bolszewikom, Żydom i masonom... W powieści „Krwawy maj“ w sposób bardzo przejrzysty — choć niby w formie przeniesienia akcji na teren południowo-amerykański—maluje przewrót majowy 1926 roku w Polsce.

Utalentowana fejletonistka Teffi, dzieląc się na łamach prasy emigracyjnej wrażeniami z podróży po Polsce — stwierdza ciekawy wedle niej objaw, że w Polsce do t. zw. „literatów młodych“ zaliczają się wszyscy piszący od lat 18 do 45. Powieściopisarz Minałow — malując prześliczne obrazki z podróży po Polsce — nie ukrywa swych sympatyj dla Polaków, tem silniej więc ubolewa nad ich odwiecznym „wandalizmem“, którego przykład widać w wysadzeniu „soboru“ prawosławnego w Warszawie. Marek Ałdanow w „Spisku“ szkicuje humorystyczny obraz polskiego szlachcica z końca XVIII w., potomka „zwycięzców z pod Wiednia“...

Taki jest mniej więcej bilans tego, co powiedziała i mówi literatura rosyjska o Polakach. Czy trzeba dodawać, że bilans dla nas niezbyt pochlebny — tem zaś mniej jeszcze, że tego rodzaju pojęcia o Polakach znajdują oddźwięk na Zachodzie, nawet wśród naszych przyjaciół (np. książę Cernuwicz, Polak, sekretarz ambasady rosyjskiej w Turcji z powieści Cl. Farrère'a *„L'homme, qui assasina“*).

Czemu to przypisać?... W czem leży źródło?... Nie ulega wątpliwości, że leży ono w instynkcie samozachowawczym narodu rosyjskiego. Swiadczy to zarazem i o tem, że w Rosji zawsze zdawano sobie sprawę, czem jest Polska, doceniano jej znaczenie. W chęci karykaturowania Polaków należy dopatrywać się myśli wychowawczej, mianowicie dążenia do obniżenia wartości Polaków w oczach mas rosyjskich. W Rosji robiło się coś zupełnie przeciwnego, niż w Polsce: u nas umyślnie wpajano młodym pokoleniom świadomość o wielkości potęgi rosyjskiej — stąd płynęła bezsilna najczęściej i bezowocna nienawiść. Oni byli silniejsi — a chcąc, żeby ich dzieciom Polska wydawała się słabszą, niż jest w istocie — uczyli lekceważyć ją i śmiać się z Polaków... Mimo wszystko — Rosja nigdy nie zapomniała tego, że Polska — to też potęga i z tem się liczyła. Dumną była z pokonania wroga, tak potężnego i niebezpiecznego. Stosunek do Polski traktowało się, jako walkę równego z równym, walkę, z której Rosja chwilowo wyszła zwycięsko —

a która mogłaby każdej chwili rozgorzeć na nowo. Rusyfikacja więc Polski nie miała na celu niszczenie innego narodu dla niszczenia samego, lub z nienawiści do tegoż narodu — rusyfikowano Polskę, bo jej się obawiano...

System wychowawczy zrobił swoje. Wśród Rosjan — szczególnie wśród tych na emigracji — jest wielu takich, którzy nie mogą sobie wyobrazić, jak to ci śmieszni, karykaturalni Polacy — jak przedstawia ich literatura rosyjska—mogą mieć swe własne państwo i rządzić się w niem, nazywają Polskę państwem sezonowem, „kalifem na godzinę“, placówkę, stworzoną z łaski przez Lloyd-George'a i Clemenceau celem rozdzielenia Niemiec i Rosji... Głębsze jednak umysły wśród publicystów rosyjskich stwierdzają, że dziś ma miejsce nowy etap w rywalizacji polsko-rosyjskiej, w rywalizacji o hegemonję nad słowiańszczyzną...

I — przedstawiając tę sprawę z takiego punktu widzenia—nawołują do ukończenia bezpożytecznej walki („w kółko panie Macieju“ — oni nam brali Moskwę, myśmy zdobywali Warszawę... myśmy stawiali im nogę na brzuchu, oni stawali nam w poprzek gardła i t. d.), do rozgraniczenia wpływów w słowiańszczyźnie i przygotowania się do obrony przed wspólnym wrogiem.

Literatura rosyjska ośmieszała Polaków i nie lubiła ich (powodem: instynkt samozachowawczy) — a w gruncie rzeczy doceniała wagę Polski, jako czynnika politycznego i militarnego...

U nas zaś przeciwnie: nie uczono pokoleń w niewoli, że jesteśmy równie potężni, jak Rosja tylko chwilowo „znaleźliśmy się pod wozem“—ale szeptano, że „jedyną bronią niewolników jest zdrada“... Mnożono Wallenrodów i Irydjonów — nic nie pisano o Zawichoście, Orszy i Kłuszynie... I dziś jeszcze — gdy już „wyszliśmy z pod wozu“ stosuje się stare, przeżyte metody... nawołuje się do „odwetu za niewolę“...

TEODOR PARNICKI

FANUEL IZRAELA

FANUEL — OBLICZE BOŻE; IZRAEL — BOJOWNIK BOŻY

28. Żadną miarą nie będzie się zwało imię twoje Jakób, ale Izrael, bo jeśli przeciw Bogu walczyłeś dzielnie, to daleko więcej przemagać będziesz w walce przeciw ludziom.

29. Spytał go Jakób: Powiedz mi, jak się nazywasz? Odpowiedział: Pocóż się pytasz o imię moje? I pobłogosławił mu w onemże miejscu.

30. I nadał Jakób onemu miejscu imię Fanuel, mówiąc: Widziałem Boga twarzą w twarz, a jednak zachowałem życie moje.

31. I wnet wzeszło słońce nad nim, skoro minął Fanuel, ale chromał na nogę.

— — — — — — — — — — — — —

Genesis, XXXII.

Jedną ranę miał na czole...
Ta największe sprawia bóle...
Tę ranę sam sobie zadał,
Śmierć z niej uleczyć nie może

— — — — — — — —

Dziady III.

I

...BUCHNĄŁ z mej piersi dziki bunt i kląć począłem [tę godzinę,
Kiedym się oblókł w ciała szmat, przez który dziś [w ciemnościach ginę,
Iżem na siebie pojął grzech, iż jęczę głucho w poniewierce.
Iż mi wtóruje w mroźną noc zgłodniałe, biedne, ślepe serce,
Że wszystko rwie się w ręku mych, mdleje, zamienia się w ruinę,
Że czuję słabość swą i lęk za popełnioną pragnień winę.

II

I kląć począłem szczęścia głód, co w pustkę wiódł mię, [na bezdroża,
Pajęczyn nikłych wieszał zwój, by wolne zasnuć mi prze- [stworza,
Żem, chciwy jutra nie dbał już o szlak, rzucony poza sobą,
I każdą z jasnych życia chwil trawiłem moich żądz żałobą.
Iżem w dziecięcych moich dniach nie znalazł śmiertelne- [go łoża,
Że mej tęsknoty słonych fal bez dna, bez brzegów żalne [morza.

III

I klątem zdradnych marzeń rój, co mię oplatał wszędzie, [wszędzie,
Tak, żem nieścigłe kochać jął, co mi się nigdy nie wy- [przędzie,
Żem pozyskane ciskał w pył, bo mi się nagle zdało błotem,
Ale gdym tracił — znowu już chciałem odzyskać je z po- [wrotem,
Iżem, com tylko zdobyć chciał, stawiał w Sezamu pierw- [szym rzędzie,
Żem niedojrzały zrywał płód i rozkosz jenom czuł — [w obłędzie!

IV

I jąłem kląć swą własną myśl, że mi kazała stworzyć Boga,
Abym tam widział cudu znak, gdzie było jeno przemoc sroga,
Żem Go w niebieskie wrota wwiódł i opromienił Tajni tęczą,
Abym tak jęczał w złudzie mej, jako przed Panem słudzy [jęczą,
Abym nieszczęście Łaską zwał i przyjacielem nazwał wroga,
I gdzie krwawiący cierń i głaz życiowa moja legła droga.

V

Nakoniec Prawdy klątem zwid, co mi się jawił na błękicie,
I będąc jeno złudą złud, za miano sobie obrał — życie,
Najdroższym będąc snem ze snów oplatał siecią nierozrywną.
I sączył mi w spaloną pierś kłamliwych mamień słodycz [dziwną.
Niweczył tę najprostszą z wiar, bym odpoczynek miał [w niebycie,
Bo wiecznie w ciemnym borze lew i wilk z panterą czyha [skrycie [1]).

VI

...I ległem w prochu... Jakaś głąb' bez dna otwarła się [przede mną —
Odwrócić od niej chciałem wzrok, nie patrzeć!! — ale na- [daremno,
Bo pod powiekę sięgał cień, zagarniał w swe chwytliwe sieci,
Żem uczuł znicestwienia dech i zdruzgotanych ból stuleci —
Pojąłem klątwy straszną moc, niemej rozpaczy treść [tajemną...
Fatalny się zamykał krąg!.. A w oczach ciemno, ciemno, [ciemno!...

Kraków, w lutym 1908. STANISŁAW CYWIŃSKI

[1]) *Mi ritrovai per una selva oscura...*
Ed ecco... una lonza leggiera...
La vista... d'un leone...
Ed una lupa... (L'Inferno I).

NA WIDOWNI

List pasterski Prymasa Polski. — Deifikacja Państwa a pogląd narodowy. — Wielka tradycja archidjecezji gnieźnieńskiej. — Aktualność Listu Pasterskiego i... *„De civitate Dei"*.

ODWIECZNE wskazania mądrości katolickiej formułuje i przypomina List pasterski J. E. Kardynała Prymasa Hlonda, zatytułowany „O chrześcijańskie zasady życia państwowego". Przypomina w sposób szczególnie uroczysty: wydany w Gnieźnie, w najstarszej u nas, koronację pierwszego króla pamiętającej stolicy arcybiskupiej, datowany w dzień św. Wojciecha, najdawniejszego patrona Polski, u którego grobu, w r. 1000, na zjeździe Bolesława z Ottonem III, po raz pierwszy stwierdzona została pełnia władzy zwierzchniczej i udzielności Państwa Polskiego, a cesarz rzymski nazwał Chrobrego *„fratrem et cooperatorem Imperii Romani"*. Czyż już w tem samem nie zawiera się wyraźna wskazówka, że pouczenie „o chrześcijańskich zasadach życia państwowego", to powtórzenie tych właśnie zasad, na których twórcy Polski od fundamentu budowę Państwa Polskiego oparli, które uformowały nas w ciągu wieków jako naród, ukształtowały naszą tradycję historyczną i naszą psychikę jako odrębnej, samoistnej indywidualności zbiorowej w dziejach świata?

„Państwo jest od Boga, ale nie jest Bogiem"— oto w sposób najzwięźlejszy ujęta myśl przewodnia Listu pasterskiego Prymasa Polski. Życie w państwie, a więc w organizacji *ex definitione* wyposażonej we władzę suwerenną, jest dla człowieka stanem naturalnym: „i państwo i władza jego wywodzą się nie z jakiegoś przygodnego wydarzenia dziejowego ani z dobrowolnej umowy ludzkiej, lecz z prawa przyrodzonego". Jest wszelako Prawdą najgłębszą, że zgodnie z naturą człowiek może żyć tylko dopóty, dopóki nie ubóstwi Natury. Ten „całkiem naturalny błąd": ubóstwienie Natury, był — jak stwierdza świetny wywód Chestertona w „Św. Franciszku z Assyżu" [1]) — główną, najistotniejszą omyłką metafizyczną świata pogańskiego: w dziedzinie polityki wyraził się on jako deifikacja Państwa. To też dziś u nas spór pomiędzy tymi, którzy w myśl „ideologji państwowej" widzą w Państwie „absolut zbiorowości ludzkiej", źródło i twórcę praw moralnych, a tymi, którzy ten pogląd zwalczają, różnica zdań, gdy poważniej wmyśleć się w jej konsekwencje logiczne, nie dotyczy bynajmniej jakichś teoretycznych czysto, pozbawionych realnego znaczenia szczegółów. Jest to różnica o ten właśnie szczegół, który dzieli chrześcijaństwo od pogaństwa.

Myśl narodowa, ujmująca naród integralnie, jako całokształt cywilizacji, z natury rzeczy zabezpieczona była (zwłaszcza w krajach typu zachodnio-europejskiego) przed tem pogańskiem wynaturzeniem ideologji, które w Państwie widzieć każe „absolut", „cel sam w sobie", a uroszczeniom władzy rządowej żadnych znikąd nie chce postawić zapór. Ze stanowiska narodowego jest rzeczą jasną, że organizacja państwa nie wyczerpuje w sobie całości bytu zbiorowego narodu, ani nie zaspokaja wszystkich bez wyjątku jego potrzeb, ale że indywidualność duchowa, jaką jest naród, wypowiada się w sposób twórczy we wszelkich dziedzinach życia, wyciskając swe piętno zarówno na polityce i działalności państwowej, jak też nadając swoiste cechy życiu religijnemu, kulturalnemu, społecznemu, rozkwitając zarówno w dziele genjuszu pojedyńczego artysty czy poety, jaki regulując dobrowolnie uznawanym rygorem obyczaju ład życia domowego rodziny. I ze stanowiska narodowego jest rzeczą naturalną, że obok państwa oraz jego organów istnieją jednnocześnie inne instytucje, niemniej narodowe, również czcią i umiłowaniem powszechnem od wieków otoczone, będące czynnikami spójni moralnej narodu i źródłem jego duchowej siły.

By nie szukać daleko, powrócę do przykładu instytucji, dawnej niemal jak Polska sama: stolicy arcybiskupiej gnieźnieńskiej. Przypomnijmy wiek XIII, okres rozdrobnienia dzielnicowego, kiedy żaden ślad poprzedniej jedności, jeśli o wspólnotę państwową chodzi, już się był na ziemiach polskich nie przechował. Gdyby nie poczucie spójni językowo-plemiennej i wyrastające na jej tle początki świadomości narodowej, gdyby wszyscy Polacy ówcześni wyznawali dzisiejszą „ideologję państwową", jakiż mogliby widzieć wyższy ideał, jakiż dostojniejszy nakaz moralny nad odrębną „państwowość": sieradzką, inowrocławską, dobrzyńską, łęczycką, brzesko-kujawską i t. p.?

I w tych latach podziału właśnie, tylko „kościół polski utrzymywał swą jedność i częstemi synodami ją wzmacniał" [2]), tylko on jeden organizacją swą symbolizował niepodzielność narodu, tembardziej, że wszystkie biskupstwa polskie stanowiły wówczas jedną prowincję kościelną, z archidjecezją gnieźnieńską jako ośrodkiem. O tę jedność bojował arcybiskup gnieźnieński Henryk Kietlic (1199—1218), walcząc o uniezależnienie duchowieństwa polskiego od jurysdykcji poszczególnych książąt dzielnicowych i o nadanie mu w całej Polsce jednolitego stanowiska prawnego, czego potwierdzenie od większości ówczesnych książąt polskich osiągnął (na synodach: borzykowskim w r. 1211 i wolborskim w r. 1214). Gdy zaś w okresie rozbicia dzielnicowego wszelkie węzły, łączące politycznie Pomorze Zachodnie z resztą Polski zerwały się bezpowrotnie, Kietlic uzyskuje w Rzymie bullę papieża Inocentego III, nakazującą biskupowi pomorskiemu obedjencję w stosunku do arcybiskupstwa gnieźnieńskiego. A już wprost trudno dostatecznie uwydatnić olbrzymią rolę, jaką w kilkadziesiąt lat później odegrał w dziele ponownego scalenia narodu i wskrzeszenia Królestwa Polskiego inny arcybiskup gnieźnieński, Jakób Świnka, „prawdziwy mąż opatrznościowy odradzającej się Polski" — jak mianuje go słusznie prof. Roman Grodecki [3]).

Arcybiskupstwo gnieźnieńskie stało się w toku dziejów doniosłą instytucją również w zakresie państwowego już czysto życia dawnej Rzplitej; prymas Polski uzyskał godność i funkcje *interrex*'a, otrzymał pierwsze miejsce w senacie. Ale i później jeszcze, po rozbiorach, gdy państwowy byt Rzplitej został przerwany, stolica prymasowska w Gnieźnie nie przestała być instytucją ogólno-na-

---

[1]) G. K. Chesterton: *„St. Francis of Assizi"*, Londyn 1923. Istnieje także przekład francuski.

[2]) Michał Bobrzyński: „Dzieje Polski", 1880, t. I, str. 152.

[3]) „Polska jej dzieje i kultura", wyd. Trzaski, Everta i Michalskiego, t. I, str. 149.

rodową, ku której wzrok całej rozdartej Polski niejednokrotnie się zwracał. Wystarczy wspomnieć czasy kardynała Ledóchowskiego i jego walkę choćby przeciwko wprowadzeniu niemczyzny w szkołach.

To też jaki majestat wspomnień, jaka powaga tradycji historycznej jawi się w świadomości, gdy odczytuje się jasne, mocne słowa Prymasa Polski, idące w naród „od kolebki państwowości polskiej, od grobu świętego Wojciecha“:

„... moralna pustka w polityce zawsze prowadzi do polityki gwałtu. Dowodem tego są programy, które twierdzą, że o prawie stanowi siła i powodzenie, że siła kwalifikuje tego, kto ma rządzić... To się skończyć musi katastrofą państwowości.

... Nie wolno rządzić przeciw interesom państwa. Nie wolno kierować się własnemi kaprysami z szkodą dla dobra kraju. Nie wolno sprawy państwa utożsamiać z własną korzyścią lub z korzyściami pewnej grupy...

... Klęską dla idei państwowej musi się skończyć sprowadzania obywatela do biernego świadka życia państwowego, do płatnika, nie mającego wglądu w to, co się z groszem publicznym dzieje...

... Daleko gorzej, jeżeli państwo... systemem terrorystycznym rządzi...

... Państwo nie jest uprawnione wszystko zagarniać, wszystko wchłaniać, monopolizować, socjalizować“.

Czyż nie dźwięczy tu najwyraźniej nuta aktualności [4]), niemal jak w polemicznym, publicystycznym artykule? Ale taka już jest cecha prawd i wskazań, z nauki katolickiej wysnutych, że one zawsze są żywe, zawsze aktualne i zawsze... opozycyjne w stosunku do tego wszystkiego, co z nauką moralną Kościoła nie jest w zgodzie. Oto biorę do ręki dzieło patrona obecnego Prymasa Polski, a jednego z najpotężniejszych myślicieli, jacy żyli kiedykolwiek na ziemi, jednego z wielkich twórców chrześcijańskiej nauki o państwie, św. Augustyna. Piętnaście wieków minęło od czasu napisania „Państwa Bożego“, a przecież czy nie z zainteresowaniem nieosłabłem czyta się dziś takie naprzykład słowa świętego biskupa Hippony:

„Wyzute ze sprawiedliwości państwo, czyż nie jest bandą rozbójniczą? Boć i banda jest małem królestwem. Tam przecież szajka ludzi także podlega rządom dowódcy, jest skrępowana umową społeczną i podług pewnych praw umówionych dzieli się zdobyczą. Gdy przez napływ nowych różnych wyrzutków wzrasta do tyla, że okolicę jakąś zajmuje i stałe w niej siedlisko zakłada, zajmuje miasta, ujarzmia ludzkie gromady, wreszcie już jawnie nazwę królestwa przybiera, do czego ją upoważnia nie już chciwość, lecz coraz większa bezkarność“.[5])

I czyż nawet czytelnik, najbardziej zamiłowany w sprawach... aktualnych, nie daruje tego cytatu z dzieła, pisanego wszak w epoce tak odległej?

JAN REMBIELIŃSKI

---

[4]) Najżywiej temu poczuciu aktualności dała wyraz oficjalna „Gazeta Polska“, drukując obok streszczenia Listu pasterskiego Prymasa Polski, artykuł wstępny p. t. „Brześć“. Wspomnień o daremnych poszukiwaniach zbiegłego zagranicę gen. Zagórskiego, „Gazeta Polska“ w tym numerze, niestety, nie zamieściła.

[5]) Św. Augustyn: „Państwo Boże“ t. I, Poznań 1930r., nakład J. Jachowskiego, z łaciny przetłumaczył i objaśnienia napisał ks. Władysław Kubicki str. 203—204.

GŁOSY

PISALIŚMY OSTATNIO NA TEM MIEJSCU, jaki przełom wywołuje era sanacyjna w życiu kulturalnem narodu, nadwyrężając instytucje i obyczaje tradycyjne, a stanowiące o naszej łączności z Zachodem Europy. Nietylko formy życia państwowego — publiczno - prawne — zniekształciły się i ucierpiały. W nowych warunkach ucierpiały bardzo także tradycje o znaczeniu najogólniejszem. Czy era sanacyjna uszkodziła jaką instytucję więcej, niż honor — honor właśnie w sensie zabytku cywilizacji rycerskiej? Ten bilet wizytowy, jaki Ryskalczyk trzymał w lewej ręce przy napadzie na Nowaczyńskiego, bezsensownością swą świadczy o poczynionych spustoszeniach w dziedzinie pojęć o honorze. Napastnik, zaskakując publicystę uderzeniem w oko, nie myślał bynajmniej o odpowiedzialności honorowej. Nie. Chciał tylko napaść i znieważyć pisarza. Wyjaśnił to kategorycznie na przewodzie sądowym, nie umiał tylko w związku z tem objaśnić, czemu podczas napadu w drugiej garści trzymał niepotrzebnie bilet wizytowy... W niemożliwej grotesce tej sytuacji jest symbolizm wcale nie humorystyczny. Jedna ręka porusza się błędnie w myśl przepisów kodeksu honorowego; druga sprawnie wykonywa ruchy andrusa z bojówki. Między pierwszym gestem, machinalnym i automatycznym, a drugim, odpowiadającym prawdziwemu zamiarowi, niema żadnej łączności. Te ruchy „ideowca“ sanacyjnego, skazanego przez sąd na rok więzienia, — toż przecież na jednym przykładzie pokazane ruchy całego obozu. Toż jeszcze ze szpalt prasy, reprezentującej tamte poglądy, nie znikła tradycyjna frazeologja „honoru“. Jednocześnie mowy, czyny, cały styl walki politycznej — poderwały tradycyjny system pojęć o honorze z gwałtownością bezprzykładną. Pojęcia te muszą być wspólną własnością całego narodu. Zrobiono bodaj wszystko możliwe, aby nią jaknajprędzej być przestały. Czy życie publiczne mogło dać społeczeństwu więcej wzorów chwytów „niesportowych“, niż dało w ciągu ostatnich lat sześciu? Trudno wyobrazić sobie rekord forsowniejszy.

W OSTATNICH TYGODNIACH ZAPADŁY dwa charakterystyczne wyroki sądowe. Sąd Okręgowy Wileński skazał studenta żydowskiego Wulfina na 2 lata więzienia. W dziesięć dni później Sąd Okręgowy Warszawski wymierzył karę 1 roku (z pozbawieniem praw) członkowi Legjon Młodych, Tadeuszowi Ryskalczykowi.

Za cóż ich skazano? Wulfin brał udział w zbiegowisku, które obrzuciło powtórnie kamieniami śmiertelnie rannego Wacławskiego. Ryskalczyk napadł na Adolfa Nowaczyńskiego i ciosem lewej ręki (jest bowiem mańkutem) rozranił mu chore oko, tak, że trzeba je było usunąć.

Uderzająca jest u obu napastników wspólność poziomu moralnego i uderzająca zgodność metod. Wulfin był „sprowokowany“ usunięciem żydów z sal wykładowych. To go „moralnie“ upoważniło do tłuczenia wyrwanym z bruku kamieniem w okrwawioną głowę nieprzytomnego studenta polskiego. Ryskalczyk był „sprowokowany“ ostrem wystąpieniem Nowaczyńskiego przeciwko polskiemu tekstowi piosenki „*Wir blauen Husaren*“. To go „moralnie“ upo-

ważniło do bicia Nowaczyńskiego w obolałe oko, chore i ślepe od czasu pamiętnej nocy w grudniu 1927 roku, kiedy to znakomitego pisarza gromada-da zbirów „ideowych“ katowała w ciemności na odludniu, waląc kastetami po głowie. Ryskalczyk wiedział o tem, tak jak wiedział Wulfin, że wiozą rannego w dorożce.

Nie chodzi tu o samo bicie. Gwałt może być nawet niekiedy potrzebny. Samopomoc jest dopuszczalna moralnie w pewnych szczególnych warunkach, tak jak jest prawie dopuszczalne zabicie w obronie koniecznej. Ale żeby umieć bić rannych i okaleczonych, na to trzeba swoistej psychiki. Odmalował ją genjalnie Żeromski w postaci oficera Śnicy, komendanta obozu koncentracyjnego jeńców włoskich. Na tych rozłogach chamstwa spotyka się dusza żyda, wypełzłego z mroków ghetta, z duszą pozbawionego resztek kultury polskiej członka duchowego *Lumpenproletariat*'u, szumowiny, którą okres powojenny wynosi wysoko, często znacznie wyżej, niż na stołek sekretarza województwa.

PARĘ NOWYCH KWIATUSZKÓW Z GRZĄDKI POLSKIEGO RADJA. „Gazeta Warszawska“ zwracała już uwagę czytelników na skłonności „Polskiego“ radja do faworyzowania audycyj żydowskich. Mieliśmy niedawno „Tydzień akademika żydowskiego w Krakowie“ i „Koncert muzyki lekkiej“ w Warszawie. A oto plon ubiegłego tygodnia:

Warszawa, 25/IV — muzyka żydowska, wyk. chór wielkiej synagogi im. Nożyka, pod dyr. Dawidowicza, nadkantor H. Bornstein.

Lwów, 25/IV — „Życie i kultura żydowska w Polsce przedrozbiorowej“ — dr. J. Schall.

Wilno, 26/IV — „Nowe przekłady z literatury żydowskiej“ — dr. A. Hirszberg.

Kraków, 29/IV — „Odrodzenie hebraizmu“— dr. S Stendig.

Wcale nieźle! Na przestrzeni pięciu dni — cztery audycje o żydach i dla żydów. Jak widzimy, „odrodzenie hebraizmu“ kwitnie w całej pełni na terenie „Polskiego“ radja, które polska publiczność zaczyna wymawiać w cudzysłowie, zapytując, czy nie wartoby pomyśleć o zmianie nazwy tej instytucji na bardziej odpowiednią, np. „Radjo Mniejszości w Polsce Odrodzonej“?

Przypominamy, że protesty przeciw poczynaniom kierownictwa literackiego w „Polskiem Radju“, które nas karmi coraz obficiej koszerną strawą duchową, — można i należy kierować pod adresem K. A. P. Miodowa 17, podając nazwiska i numery abonamentu radjowego, wzgl. adresy radjosłuchaczy polskich.

NAUKA I LITERATURA

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Powieść Marji Rodziewiczówny „Gniazdo Białozora“, której przekiękny, wysoce poetyczny prolog ukazał się w zeszłorocznej „Myśli Narodowej“, drukowana była nieco później na łamach „Kurjera Poznańskiego“, jednakże z pewną przerwą, wywołaną chorobą autorki. Przerwa ta odbiła się w niejakiej mierze na technice powieści (całość ukazała się w wydaniu książkowem nakł. R. Wegnera w Poznaniu), albowiem w jednem miejscu akcja nagle jakby przełamuje się, przybiera nieco inny nastrój i tempo, a zakończenie jest dość nieoczekiwane. Nie wyszło to jednak na złe utworowi, owszem urozmaiciło znacznie fabułę, zaś prawem kontrastu lepiej uwydatniła charakterystykę osób. A właśnie ta charakterystyka osób, to bodaj najważniejsza z wielu zalet powieści. Bez „krwawiących serca dyssekcyj“, bez drobiazgowych analiz, mocnemi konturami nakreśliła autorka jędrne żywotne, rasowe postacie „Białozorów“, wśród których w oczy i w serce nam wpadają przedewszystkie dziarskie „dwa Michały“ (oczywiście — jeden duży, drugi mały), oraz przemiła szczebiotka, dla ustawicznego terkotania słusznie nazwana Terką. Od tych natur pierwotnych i krzepkich, tych w ziemię ojczystą wrostych autochtonów poleskich, wszelkiemi sposobami, całą energją i instynktem broniących swego bytu i prawnego posiadania, odbijają wyraziście postacie (lub sylwetki) wszelakich przybyszów, którzy nie znając kraju, jego warunków i potrzeb, chcą go nagwałt „cywilizować“ wedle biurokracyjnych szablonów, w rzeczy samej zaś gotują mu materjalną i moralną zagładę. Jak przedtem w „Niedobitowskich z pogranicznego bastjonu“, tak i w tej książce Rodziewiczówna daje tęgą chłostę bezdusznym i bezmyślnym formalistom-biurokratom. I nietylko im... Napiętnowała bowiem i destrukcyjną robotę różnych pół inteligentnych, a mocno zarozumiałych „działaczy“, którzy frazesem, pochlebstwem, donosicielstwem, i intrygą zdobywają sobie znaczenie i wpływ; uosobiła ich w postaci marnego indywiduum, nazwanego słusznie Kutasem. Wśród tych przybyszów jeden tylko zdobyć sobie może sympatję czytelnika, a mianowicie szofer Sawicki, który ze zbolszewiczałego malkontenta przerabia się — dzięki Białozorom — na człowieka czynu i pracy, o zasadach zdrowych. Podbija on nas zresztą już wcześniej swym humorem wisielczym, który nieraz błyśnie ciętością i trafnością dowcipu. Kapitalne są listy, pisane przez niego z Afryki, dokąd wybrał się z podobnym do siebie—również na ton pogodnie-sarkastyczny nastrojonym—panem Jelcem, ex-obszarnikiem, zrujnowanym częściowo przez własną lekkomyślność i dobroć serca, częściowo przez zawiść złych ludzi i formalistykę biurokracji. Przez ciężką szkołę życiową przechodzi z własnej woli ten lekkoduch, zdobywając sobie i hart woli i miłość kobiety, a naszą sympatję.

Pomimo drobnych niejasności w szczegółach, pomimo pewnych zbytecznych powtarzań motywów (fabrykacja kuszy—wobec zakazu używania broni palnej—była już w „Niedobitowskich“) powieść cała ma wartość wielką. Styl jest przepyszny, bogaty; obok natchnień głębokiego liryzmu, obok pejzażowych akwarelek spotykamy tu pełne werwy djalogi, w których każda osoba przemawia innym językiem. Zwłaszcza język Sawickiego—ex-żołnierza polskich formacyj wschodnich — podchwycony został wybornie. (J. B.).

*

Działalności Towarzystwa Przyjaciół Nauki i Sztuki w Gdańsku, które nie ustaje w pracy chlubnej i pożytecznej, należy się uwaga i poklask całej Polski: poklask za rzeczy dokonane i uwaga dla zamierzeń bieżących, oby jak najszybciej realizowanych. Stan posiadania Towarzystwa na ugornym i kamienistym gruncie gdańskim jest jednocześnie stanem posiadania myśli polskiej, polskiego słowa i kultury. Ta też placówka nasza, ani na chwilę nie może się tam poczuć — sama. Troskliwa i pełna miłości opieka całej Polski otoczyć musi poczynania i zamiary Towarzystwa, które za sobą powinno mieć nas wszystkich.

Z takiem właśnie uczuciem bierzemy do ręki ostatni „Rocznik Gdański“, organ Tow. Przyj. Nauki i Sztuki w Gdańsku, ogłoszony niedawno za lata 1930 i 1931 (tomy IV i V). Otwiera Księgę rozprawa dra Wł. Pniewskiego, zasłużonego koło gromadzenia rzeczy polskich o morzu i Pomorzu, p. t. „Gdańsk w polskiej literaturze pięknej“. Sumiennie zebrany materjał od czasów najdawniejszych aż po dni nasze, z dziedzin zarówno poezji jak prozy, pozwala ustalić autorowi miejsce Gdańska w polskiej opinji literackiej. Zarys Wł. Pniewskiego uderza nietylko skrupulatnością naukową, ale także spokojem i taktem sądu: znajdziemy tu słowa rezerwy wobec nieobowiązujących deklaracyj naszej najmłodszej poezji, nadto zaś pełną umiaru ocenę ogólną owych głosów gdańskich, utrwalających wiernie nastroje i stanowiska czasu i ludzi. Wł. Pniewski zamierza poświęcić pracę specjalną literaturze niemieckiej, dotyczącej Gdańska. Z ciekawością wyglądamy drugiej strony obrazu.

Dr. Stanisław Brodniak ogłasza z kolei dwie gruntowne rozprawy historyczne: „Komisja morska Zygmunta Augusta“ oraz „Morze w głosach opinji w dawnej Rzeczypospolitej“. Uzupełnia niejako poszukiwania Wł. Pniewskiego Józef Zawirowski drukujący rzecz o stosunkach gdańsko-polskich w latach 1568 — 1570 i refleksach owych burzliwych wydarzeń w łacińskiej poezji hiszpana Piotra Royziusa. Echa gdańskie, ważkie z uwagi na swą bezpośrednią szczerość, odnaleźć można aż w 64 utworach Royziusa, które J. Zawirowski cytuje obficie w przekładach i streszczeniach, mając przewodnika w mo-

biograficie poety, Br. Kruczkiewiczu. Znany ze swych prac w historji sztuki ks. Bolesław Makowski analizuje uczenie stosunek do polskości i do Polski znakomitego artysty Daniela Chodowieckiego. Niedawne publikacje Adolfa Nowaczyńskiego i Aleksandra Kraushara uczyniły temat aktualnym; warto więc prześledzić wywody ks. Makowskiego, streszczone w konkluzji ostatecznej, że „przekonaniem swem narodowem oraz pewną liczbę wybitnych dzieł swoich należy (Chodowiecki) również do sztuki i kultury polskiej".

Dopełnia księgi bibljografja kaszubsko - pomorska Wł. Pniewskiego, oraz artykuły: A. Siebeneichena, S. Bierowskiego, St. Hańskiego, wyrosłe z potrzeb politycznych i kulturalnych współczesności. Bogaty dział recenzji chlubuie świadczy o zabiegliwej pracy Komitetu redakcyjnego. Kronika Towarzystwa informuje o przebiegu i rezultatach działalności instytucji w czasie od r. 1929 do r. 1931. (T. M.)

*

W. Sommerset Maugham, jeden z popularniejszych pisarzów współczesnej Anglji, zaczyna przedostawać się do naszego dorobku literatury przekładowej. Po pierwszym tomie jego nowel, jaki ukazał się przed rokiem p. t. „Samotne dusze" (drukowanym zresztą uprzednio w odcinku jednego z pism codziennych) i powieści „Malowana zasłona", „Wydawnictwo współczesne" wypuściło przekład zbioru „*The Trembling of a Leaf*" i to w sposób zupełnie nieprzyzwoity. Pojawiły sie mianowicie prawie jednocześnie dwa wydania tej samej książki pod dwoma tytułami („Honolulu" i „Wyspa słońca"), zresztą w tym samym podłym przekładzie, z tą tylko różnicą, że jedno z wydań zawiera o jedną nowelę więcej. Fakt ten niezbyt pochlebne wydaje świadectwo o wydawnictwie i jako nie pierwszy w naszej tradycji księgarskiej powinien być jaknajsurowiej skarcony.

Sam utwór nie przedstawia zbyt wielkiej wartości ze względu na podejście do tematu niezbyt głębokie i niezbyt uczciwe — od strony efektu. Myśli trudno się doszukać, choć pozornie jest jej tam bardzo wiele i może dałoby się stworzyć sobie pewne wyobrażenie o światopoglądzie autora, gdyby nie fakt, że poszczególne nowele zawierają sprzeczne tendencje. Sceną są wyspy na Pacyfiku, które obudziły natchnienia Conrada, Stevensona, i Ruperta Brooke'a i tylu innych, krajobraz czarujący i — tak podatny do łatwego wydobycia efektu. Zasadniczym motywem jest stosunek białych przybyszów do miejscowej ludności, przedstawiony naogół w tonie melodramatycznym. Jedna z nowel ukazuje zniszczenie charakteru białego człowieka przez małżeństwo z miejscową kobietą, druga szczęście osiągnięte przez podobny stosunek. Możnaby z tego wyciągnąć wniosek o relatywizmie autora, jednak wytłumaczeniem tego zjawiska jest tylko efekt. Osiąga go autor na drodze niespodzianki, do której doprowadza po umiejętnem, stopniowem potęgowaniu napięcia. Tragizm, bardzo płytki zresztą i łatwy, leży w rozczarowaniu. Widoczna i niezaprzeczona kultura formy jest tu dużą pomocą artyście. Obserwacja trafna i umiejętnie podana (doskonała charakterystyka Chicago w jednej z nowel), dobre odczucie sceny i sytuacji (śmierć Walkera w noweli „Mackontosh", scena spotkania z Jacksonem w „Upadku Edwarda Barnarda"), dowcip i znakomity dar opowiadania, a z drugiej strony właśnie owa łatwość efektu, pozory problemów zręcznie zaaranżowane, egzotyczny temat, wszystko to niewątpliwie wpływa na dużą popularność Maugham'a w Anglji i we Francji.

Jedna z jego niezaprzeczonych stron dodatnich nie została niestety zachowana w polskiem tłumaczeniu, wrażenie odnosimy zupełnie niezgodne z rzeczywistością, krzywdząc tem artystę: Maugham jest świetnym stylistą, p. Stella Olgierd jest okropną tłumaczką. Pomijając już fakt, że bardzo pięknie napisany prolog i epilog nie zostały wogóle przełożone, niewiadomo, czy z niedbalstwa czy z nieumiejętności, należy podkreślić z całą stanowczością prawdę niezbitą, że p. Stella Olgierd (żydówka) nie umie ani po angielsku, ani po polsku. Ponieważ tak ciężkie oskarżenie należy poprzeć dowodami, kilka przykładów przytoczę, zaznaczając jednocześnie, że nie wyczerpują ani w części niezmiernie bogatego materjału. Rozsądnego czytelnika wprawi np. w kłopot zdanie: „Dziewczyna... leżała na ławce, z głową opartą na brunatnem ramieniu i różowej piersi... (str. 17). Fakt istnienia tak znakonicie wygimnastykowanej i niesamowicie różnokolorowej dziewczyny wyjaśnia tekst angielski: „*She lay curled up on the seat, with her face on her brown arm, and her bosom rose and fell gently with her breathing*". Czyli rzeczywiście twarz miała opartą na ramieniu, ale „pierś jej podnosiła się i opadała łagodnie z oddechem". „*Rose*" może w oderwaniu znaczyć „różowy", ale w tem zestawieniu nie ma to sensu, a syntaktycznie jest niemożliwością. Drugi kwiatek: Podobno w Biblji są takie słowa: „Ojcowie zjedli kwaśne jagody winnej macicy, a zęby dzieci postawione są na ostrzu (?!) (str. 7). „*To be set on edge*" znaczy rzeczywiście dosłownie „być postawionym na ostrzu, ale po angielsku i w odniesieniu do zębów znaczy to poprostu „ścierpnąć". Milutko tłumaczy p. Olgierd słowo „*native girl*" przez „krajówka" — nowotwór ten, utworzony przez analogję do słowa „żydówka" nie figuruje naturalnie w żadnym słowniku języka polskiego. Także „*A „ghost of chuckling*" nie znaczy „przedśmiertna czkawka" (str. 146), tylko „jakiś cień chichotu" czy „chichotania".

„*I haven't saved a hundred pounds in twenty yars*" nie znaczy „Oszczędziłem sto funtów w ciągu tych dwudziestu lat" (str. 144), ale właśnie coś wręcz przeciwnego. Poprzednie zdanie jest wogóle opuszczone, bo 1) jest tam słowo gwarowe, którego niema w słowniku Holtzego, a 2) sens jego nie zgadzał się oczywiście z cytowanem zdaniem. Biedna dziewczyna uliczna z noweli „deszcz" urasta na jakiegoś Gerbaulta, kiedy się dowiadujemy, że ma odbyć kilkuset kilometrową podróż „czółnem" (str. 73). Słowa „wycierali ręce swoje *lava-lavas*" przypominają „herbatę Liptousa" swą pięknie zakonserwowaną angielską formą. Jednakże co się wybacza sklepikarzowi, tego nie można wybaczyć p. Olgierd, choćby ze względu na zaszczytną godność sekretarki polskiego PEN-klubu, jaką piastuje. (A. M.)

*

Ostatnie dzieło H. G. Wells'a, przetłumaczone na polski, to „Nieśmiertelny ogień", który ukazał się nakładem „Wydawnictwa współczesnego". Jest to właściwie rozprawa na tematy społeczne, ujęta w formę dyskusji. Postacie, biorące w niej udział, są naszkicowane jednostronnie ostremi linjami, fabuła ma za zadanie raczej przyciągać czytelników i przyczynić się do spopularyzowania dzieła, ale jest tak blada i tak niechętnie i pobieżnie zaznaczona, że raczej przeszkadza, niż pomaga. Dyskusja toczy się na tle niewidzialnego sporu, czy nawet zakładu między Bogiem, a szatanem, sporu o nowoczesnego Hioba, który reprezentuje myśl autora. Bóg, choć ucieleśniony i ujęty w obraz dość szczegółowy, ma jednak charakter raczej psychologiczno-panteistyczny, niż transcendentny, wygląda raczej jak usymbolizowanie siłmienia i pędu do dobra w człowieku, równie zresztą koniecznego, jak zło i dlatego szatan, choć przegrywa, sprawia wrażenie przeciwnika równorzędnego.

Hiob, przedstawiony, jak często bohaterowie centralni Wells'a, jako człowiek chory jest założycielem i kierownikiem wzorowej szkoły, prześladowanym przez los. Pozostała mu tylko idea, o którą walczy mimo choroby, utraty stanowiska, majątku, ukochanego dziecka, walczy z właścicielami szkoły: wyszydzonym i zlekceważonym przez autora człowiekiem religijnym, płytkim i niemyślącym samodzielnie (wiara w konkretnego, trauscendentnego Boga ma być tego dowodem) i poważniej ujętym agnostykiem, sceptykiem i pesymistą. Niestety jednak sam autor jest pesymistą i sceptycznie usposobionym do człowieka. Rozwiązanie problemów, piękno, radość, dobro widzi w świetlanej przyszłości, jaka czeka ludzkość. Jednakże nie widać żadnych zadatków na tę przyszłość w człowieku, traktowanym ironicznie, ani w jego charakterze.

Utopja, zasadniczy motyw twórczości Wells'a powraca znowu. Niestety, między ideałem, a rzeczywistością niema żadnej łączności. Stadjum przejściowem, które jest zasadnicze z punktu widzenia realnego, nie interesuje się autor, nie widzi go wcale.

Ideały — pokój wieczny, najwyższy poziom wiedzy, której podstawą są technika i socjologja, metoda—szkolnictwo, ujednostajnione na całym świecie pod względem programu, sposobu i języka nauczania, to abstrakty, słowa, schematy, martwe, jak rysunek techniczny mostu łączącego ziemię z księżycem. Równie nierealnie wyglądają konkretne cyfry: kilkunastu energicznych ludzi mogłoby najdalej w ciągu dwunastu pokoleń wznieść ludzkość na te wyżyny. Zło, które tkwi w jednostce przypisuje Wells instytucjom społecznym i fałszowi, jaki tkwi w ustalonych pojęciach. Jedyną radą, jaką daje człowiekowi jest: kształć się. Wiedza i to nie wiedza o sobie, bo tą się nie interesuje — unika zresztą patrzenia wgłąb człowieka — ale wiedza techniczna i historja, ujęte od strony postępu i ludzkości, są lekarstwem na wszystkie choroby. Cała teorja Wells'a, cała jego ideologja jest zawarta w tej książce. Dlatego warto ją poznać. Nie powie nam ona jednak o niczem, prócz o samym autorze, nie ukazując zresztą jego stron dodatnich. Wells'a obserwatora życia i Wells'a artysty gdzieindziej szukać nam wypadnie.

Przekład J. Zydlerowej poprawny i pisany bardzo dobrą polszczyzną, jest swobodny i pozbawiony wpływu angielszczyzny w wysławianiu się. (A. M.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Bohater z pod Waterloo, generał Cambronne, dokoła imienia którego utworzyło się mnóstwo legend z powodu

dumnego „słowa", ciśniętego w oczy Anglikom na ich wezwanie do poddania się, — doczekał się dobrej biografji pióra W. Sérieyx'a („*Cambronne*". *Bibliothèque „Historia*". *Editions Tallandier*).

Co do owego historycznego „słowa", to sam generał nie miał pewności, czy było ono wypowiedzianie, i czuł się zażenowanym, gdy go o to zapytywano. Był to człowiek skromny, żołnierz dzielny, charakter szlachetny i lojalny. Był dzieckiem ludu prostego, jak wielu znakomitych żołnierzy napoleońskich. Wcześnie rozpoczął wojować, z powodu wszakże swojej rzetelności powoli posuwał się w karjerze wojskowej. W walkach z rodakami (Wandejczykami) nie widział dla siebie zaszczytu i wyraził się z tego powodu: „Ojczyzna" — mówił — „może żądać odemnie ostatniej kropli krwi mojej, nie może jednak wymagać, żebym się stał katem i mordercą".

Napoleon zwrócił na niego uwagę pod Wagram i chciał go mianować dowódcą 1-go pułku strzelców gwardji, wówczas Cambronne oświadczył Cesarzowi: „Najjaśniejszy panie, pozwól, że wpierw nauczę się dobrze dowodzić pułkiem" — i nominacji nie przyjął. Dopiero pod Waterloo widzimy go na czele brygady gwardji. Po upadku Napoleona pogodził się z nowym porządkiem rzeczy, był sądzony, jak marszałek Ney i t. p. Wymowie Berryer'a zawdzięczał swoje uniewinnienie, umarł w 1842 r. (W. J.)

*

Albert Rivaud, profesor Sorbony i Szkoły nauk politycznych, ogłosił pracę o „Kryzysach Niemieckich" („*Les Crises Allemandes*" 1919 — 1931), w której daje ścisłą analizę kryzysu ekonomicznego i finansowego Niemiec powojennych. W książce tej autor, poza czynnikami materjalnemi kryzysu niemieckiego, poszukuje jego przyczyn historycznych oraz psychologicznych. (W. J.)

*

Niezwykle ożywiona działalność, założonego w 1928 r. Instytutu Słowiańskiego w Pradze, może się poszczycić już trzynastym tomem osobno wydanych dzieł naukowych (nie licząc sprawozdań, odbitek i czasopism). Tom ten poświęcono współczesnej filozofji słowiańskiej („*Soucasna filosofie u Slovanu*", *v Praze* 1932, str. 173). Złożyły się nań trzy oddzielne prace: Ferdynand Pelikan napisał o filozofji polskiej i jugosłowiańskiej. Odrazu rzuca się w oczy ogromna dysproporcja opracowywanych tematów: filozofji rosyjskiej poświęcono więcej niż połowę tomu (113 str.), na polską wystarczyło zaledwie 32 stron, na jugosłowiańską zaś 21! Przyznać jednakże należy, że część traktująca o filozofji polskiej napisana jest z dużą sumiennością i znawstwem, a w stosunku do bardzo szczupłych ram przeładowana nazwiskami i faktami, wszystko jednak niemal uwzględniająca. Autor mówi tylko o filozofach żyjących (prócz paru wyjątków), i poświęca najwięcej miejsca logistycznej „szkole warszawskiej". Dodaje też niezłą bibljografję. Wypada żałować, że przedmiotu tego nie opracował Polak, oraz że pokrzywdzono go tak skąpą ilością miejsca. (P. G).

*

Bardzo aktualne w dzisiejszej sytuacji gospodarczej zagadnienia porusza dr. Fritz Neumark, w ostatnio wydanej przez siebie broszurze, noszącej tytuł „*Konjuktur und Steuer*". Po omówieniu zagadnień wstępnych i przystępując do właściwego tematu swych rozważań, autor przedewszystkiem rozpatruje czynniki, które decydują o tem, w jakim stopniu podatki odczuwają wpływ konjunktury. Tak więc podatki repartycyjne, zdaniem autora, wogóle nie podlegają wpływom konjunktury, wydzierżawienie zaś, które, jeśli chodzi o kraje cywilizowane, spotykamy jedynie w dziedzinie monopoli, zmiejsza wpływ konjunktury do *minimum*. Czynnikiem bardzo czułym na oddziaływanie konjunktury jest moralność podatkowa. Wzrost lub zmniejszenie się zaległości podatkowych jest jednym z najbardziej czułych wskaźników stanu konjunktury. Podatki pod względem techniki bardziej doskonałe, a więc bardziej uwzględniające stosunki osobiste płatnika, oparte na progresji, zmierzające do możliwie ścisłego ustalenia podstaw wymiaru i t. p. są jednocześnie bardziej czułe na wpływ konjunktury. Wielkość okresu, który dzieli czas, w którym stosunki faktyczne decydują wysokość wymiaru, a czas uiszczeniania podatku, rozstrzyga o tem, jak szybko zmiany konjunktury oddziaływają na wpływy podatkowe. Przechodząc do poszczególnych podatków, stwierdzić trzeba, że wpływ konjunktury na podatek dochodowy, bardzo wrażliwy na jej wpływ, zależy od tego, z jakich źródeł pochodzi opodatkowany dochód, od rozmiaru tego dochodu, opodatkowanego u poszczególnych płatników, wreszcie od tego, w jakim stopniu podatek dochodowy uwzględnia udoskonalenia techniczne, mające doprowadzić do jak najsprawiedliwszego wymiaru. Wrażliwość na konjunkturę podatków przychodowych zależna jest od tego, w jakim stopniu za podstawę służy faktyczny przychód. W podatku majątkowym większą wrażliwość na wpływ konjunktury wykazuje podatek od majątku ruchomego, niż od majątku nieruchomego. W podatku spadkowym konjunktura wpływa nie na wysokość wymierzanego podatku, lecz jedynie na wysokość podatku, który wpłynął do kas skarbowych. Wrażliwość na konjunkturę podatków pośrednich i ceł zależna jest od tego, czy pobierane są one od artykułów zbytku, czy też artykułów powszechnego użytku. Podatek obrotowy i opłaty stemplowe w wysokim stopniu podlegają wpływom konjunktury. Zadaniem polityki skarbowej jest zmniejszyć wpływ konjunktury na wydajność podatków, co jednak całkowicie nigdy osiągnąć się nie da. (J. P.)

NOWE KSIĄŻKI

Cywiński Stan. Symbolika „Wesela". Warsz. 1932. Odbitka z „Myśli Narod." S. 56.

Pastuszka Józef ks. dr. Współczesne kierunki w filozofji religji. Warsz. 1932. Ks. św. Wojciecha. S. 147.

Ryx Jerzy. Kredyt dla większej własności 1927 — 1930 na tle kryzysu gospodarczego w Polsce podług oryg. sprawozdań bankowych. Lwów — Warszawa (1932). B. Połoniecki. S. 86.

Adamiecki Karol prof. Nauka organizacji i jej rola w życiu gospodarczem. Warsz. 1932. S. 70.

Posner-Szczygielski Zenon. To, co nie mija. Dramat. Warsz. 1932. Dom Książki Pol.

Birkenmajer Józef. „*Les traductions polonaises de Virgile*". Lwów 1932. Nadbitka z „Eosu" 1930/31. S. 14.

Bułak-Bałachowicz Stan. Wojna będzie, czy nie będzie? Warsz. 1931. (Długa 50). S. 76.

Święcicki J. A. Nowe projekty ponownej konfiskaty mienia powstańców. Warsz. 1932. S. 16.

III Rocznik Oddziału Pol. Tow. Tatrzańskiego „Beskid Śląski" w Cieszynie. Z 32 ilust. Red. Jan Galicz. Cieszyn 1932.

ZE ŚWIATA SZTUKI

UPŁYNĄŁ rok, mniejwięcej, od czasu, gdy na tem samem miejscu pisaliśmy obszerniej o Zachęcie, zajmując się sprawa jej uzdrowienia. Nadzieję naszą opieraliśmy na fakcie zaproszenia do Komitetu Zachęty szeregu sił młodszych, a sztuce naszej dobrze i poważnie służących. Wysnuwaliśmy z tego wniosek, iż Komitet zdał sobie wreszcie sprawę ze szkodliwości wielu swoich poczynań i stwierdzenie choroby stanie się pierwszym i jakże długo oczekiwanym krokiem na drodze ku jej wyleczeniu. Nadzieje nasze, niestety, okazały się płonne, a postępek prezydjum Komitetu, ściślej mówiąc jego prezesa, manewrem raczej taktycznym. Grupa młodszych członków Komitetu składająca się z artystów, a więc fachowców, nie chcąc ograniczać się do roli statystów, wystąpiła z całym szeregiem projektów natury wyłącznie artystycznej. Zdawałoby się, iż projekty tego rodzaju, będą rozważane przez członków Komitetu artystów, łącznie z wnioskodawcami, chociażby na podstawie oświadczenia, zawartego w odezwie miłośników (omówimy ją obszerniej), wydanej przed walnem zgromadzeniem, które brzmi: „Od artystów, którzy bez udziału miłośników (podkr. nasze) kierują stroną artystyczną Zachęty"... Tymczasem ta sama odezwa wyznaje w innem miejscu z rozbrajającą szczerością: „żądaniu temu, jak i całej tej akaji sprzeciwili się przedewszystkiem miłośnicy" (podkr. nasze). Więc jakże? „bez udziału" kierują artyści stroną artystyczną Zachęty, czy z „udziałem"? Tutaj musimy przypomnieć nasze poglądy na instytucję tego typu co Zachęta, poglądy wyłuszczone obszernie w artykule, o którym mowa na początku. Mówiliśmy tam, dziś trwamy przy naszem zdaniu, że instytucje artys-

tyczne oparte na współpracy artystów z miłośnikami sztuki nie są bynajmniej (jak uważają niektórzy) przeżytkiem, że chęć tej współpracy jest objawem społecznie nader dodatnim i może przyczynić się korzystnie do popularyzacji i propagandy sztuki. Czyż można sobie wyobrazić ambicję bardziej szacowną od tej, która każe nie artystom służyć sztuce w miarę swych sił i możności? Szacowność jej staje się jednak conajmniej wątpliwa, gdy ta ambicja właśnie przekracza granice swych możności. Gdy działanie z terenu, na którym może się okazać niezastąpioną, przenosi i na dziedziny, gdzie właśnie czemprędzej powinna znaleźć zastępcę. Idea współpracy artystów z miłośnikami jest piękna i szlachetna, ale jak każda idea, przez błędną i niewłaściwą realizację, z ducha staje się ciałem, w którem duch owoców swych nie poznaje. Za podstawę do oceny stanowiska miłośników, z prezesem p. Brzezińskim na czele, może posłużyć wspomniana już odezwa. Czytamy tam, że „pewne grupy młodych artystów pod hasłem podniesienia poziomu w sztuce“ dążą również do zasadniczych zmian... i t.d. Dalej: „Hasło podniesienia poziomu wystaw jest bezwzględnie słuszne“... Okazuje się że i p. prezes Brzeziński potwierdza naszą opinję o niedostatecznym poziomie, niestety, jak zobaczymy później, nie potrafi z tego stwierdzenia wyciągnąć odpowiednich wniosków. „Słuszne“ — powiada — „ale w istocie nie chodzi tu o podniesienie poziomu“, tylko o usunięcie z wystaw dzieł nieuznawanych przez te grupy kierunków. Oświadczenie p. Brzezińskiego zyskałoby niewątpliwie na efekcie, gdyby prezes zechciał przytoczyć choćby jeden najskromniejszy dowód, że istotnie nam o to „nie chodzi“; pozatem bylibyśmy wdzięczni również za wyjaśnienie, o jakich kierunkach mowa i jak właściwie p. prezes to wyrażenie pojmuje? Przy okazji przypominamy, że w „pewnej grupie młodych artystów“ był i p. Otto i p. Jagodziński. Chcielibyśmy wiedzieć jaki to „kierunek“ reprezentują oni, wspólnie z panami Zamoyskim i Bartoszewiczem i jakich kierunków razem nie uznają? Cała bieda w tem, że p. prezes Brzeziński nie odróżnia dokładnie słów: poziom i kierunek i nie pojmuje ich treści. Już samo słowo poziom wydaje mu się podejrzane i egzotyczne, umieszcza je stale w cudzysłowie.

Dla nas między Wyczółkowskim, a Chorembalskim, np. jest przepaść poziomu, a dla niego to tylko: „kierunki“. Zachęta — według p. prezesa — nie może zamykać drzwi przed rozmaitymi Chorembalskimi, bo uznaje wszystkie „kierunki“ i przyjmuje Chorembalskiego bo... „miarą w przyjmowaniu na wystawę dzieł sztuki może być jedynie ich wartość artystyczna“. Wystarczy.

Wiadomo, iż długie obcowanie z dziełami sztuki, kształcąc smak, pogłębia naszą wrażliwość i pozwala na szereg wzruszeń estetycznych niedostępnych profanom. Równocześnie rosną i nasze wymagania artystyczne. Wielbicielom Beethovena nie wystarczy „ojra-polka“. Sprawiedliwość nie pozwala nam wymagać od pana Brzezińskiego znajomość praw, któremi rządzi się sztuka, ubolewamy jednak, iż jego zdolność odczuwań w tej dziedzinie, mimo wieloletniej prezesury, jest tak zdumiewająco skromna. Delikatność kazałaby nam przemilczeć o tem swoistem kalectwie duszy, smutnem jak każde kalectwo, gdyby nie to, iż sam p. prezes wcale się z niem nie kryje. Raczej przeciwnie: uczynił zeń kryterjum, decydujące w rozważaniach Komitetu o sposobie prowadzenia instytucji.

Stroną artystyczną Zachęty kieruje się raczej bez udziału artystów, a nie miłośników, jak o tem zupełnie fałszywie informuje odezwa. Po dowody nie trzeba sięgać daleko: wspomniana, chociażby, odezwa, traktująca o sprawach wyłącznie artystycznych, jest podpisana wyłącznie... przez miłośników. Na walnem zgromadzeniu nie zabrał głosu ani jeden członek Komitetu artysta.

Tak prowadzona instytucja czerpie z kredytu zaufania, jakiem jeszcze część społeczeństwa, pomna pięknych tradycyj, ją obdarza. Obecne kierownictwo, wydając z dawnych zapasów, swojem postępowaniem nie przyczynia się zarazem do gromadzenia nowych i może doprowodzić zasłużoną instytucję do bankructwa i do utraty dóbr moralnych, które dla placówki kulturalnej są tem samem, czem dobra materjalne dla przedsiębiorstwa dochodowego. Ci co ustąpili, „pewna grupa młodych artystów“ — według wyrażenia p. Brzezińskiego — w młodzieńczem, może, marzeniu pragnęła z Zachęty uczynić naczelną reprezentantkę sztuki polskiej, słusznie mniemając, że instytucja tak bardzo popularna i w oczach wielu jeszcze dotąd będąca prawdziwą świątynią sztuki, przed innemi powołana jest do szczytnej misji szerzenia najlepszej sztuki wśród najszerszych sfer. Niestety cel ten wydaje się nie do osiągnięcia, dopóki na czele Zachęty będą stali miłośnicy... prezesury.

WIKTOR PODOSKI

NA MARGINESIE

W Białymstoku w sali Ogniska nauczycielskiego odbyło się zebranie, „poświęcone wysłuchaniu i przedyskutowaniu książki Rusella „Małżeństwo a moralność“ i projektu nowego prawa małżeńskiego w opracowaniu komisji kodyfikacyjnej“. Dowiadujemy się o tem z „Wiadom. Literackich“ (nr. 11). A więc projekt komisji kodyf. związał się już na dobre z bolszewicką książką Russella, tak reklamowaną przez bezbożników. „Wiad. Lit.“ piszą z trjumfem:

„Pomimo wzięcia udziału w zebraniu kilku księży, którzy usiłowali sprowadzić dyskusję na poziom wiecu stowarzyszenia sług katolickich, olbrzymia większość zebranych kategorycznie wypowiedziała się za koniecznością zreformowania istniejącego prawa o małżeństwie w myśl postulatów komisji kodyfikacyjnej. Dyskusja, zakończona późno w nocy, napoiła zebranych otuchą, że myśl wolna i twórcza ma u nas jeszcze prawo obywatelstwa i że tym razem dobro państwa zwycięży, choć reakcja wystąpiła do walki z niesłychanym tupetem“.

Dodać należy, że ten wieczór propagandowy urządzony był staraniem Koła przyjaciół literatury i sztuki...

I to wszystko dla „dobra państwa“!

*

Organ „sanacji“ konserwatywnej „Dziennik Poznański“ (nr. 100) urąga pochodom powstańców śląskich w Katowicach w dniu imienin Wojciecha Korfantego.

„Ciekawą byłoby rzeczą“ — pisze — „dowiedzieć się, ile p. Korfanty zapłacił każdemu z uczestników swego pochodu imieninowego“...

To za imieniny się płaci? Nic nie wiedzieliśmy. „Dziennik“ wie, że się płaci, tylko ciekawy jest, ile płaci Korfanty.

*

„Dziennik Poznański“ gorliwie pełni służbę sanacyjną. Z powodu pewnego artykułu „Polonji“ katowickiej, przepuszczonego przez cenzurę, wyraża naganę władzom, że nie konfiskują artykułów, dla których „zdrada stanu jest zbyt może łagodnem określeniem“. „Musi być zrobione wszystko, by takie wystąpienia nie miały miejsca“.

Myśleliśmy, że Brześć był już koroną „wszystkiego“.

*

Milczenie — jak wiadomo — jest złotem. To też wobec zmniejszającego się zapasu złota w Banku Polskim postanowiono podobno dla wzmocnienia pokrycia naszej waluty użyć milczenia Izb prawodawczych, których z tego powodu właśnie się nie zwołuje. Możemy spokojnie patrzeć w przyszłość. Zapas tak cennego kruszcu, jak „milczenie“, gromadzi się coraz większy...

TREŚĆ: Maszyna i człowiek *Z. Raczkowskiego.* — Italja współczesna *Wł. Jabłonowskiego.* — Polska i Polacy w literaturze rosyjskiej *T. Parnickiego.* — Fanuel Izraela *St. Cywińskiego* — Na widowni *J. Rembielińskiego.* — Głosy. — Nauka i literatura. — Nowe książki. — Ze świata sztuki *W. Podoskiego.* — Na marginesie

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 612-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.